

GAZETA PRAWNA

ESTOŃSKI CIT 2.0.
Kiedy i dlaczego warto z niego skorzystać

ESTOŃSKI CIT 2.0

Dlaczego firmy decydują się przejść na nową formę opodatkowania

DZIŚ W DGP PORADNIK

ESTOŃSKI CIT 2.0

Dlaczego firmy decydują się przejść na nową formę opodatkowania

To wieczny spektakl

Wojna polityków w Polsce jest gangsterskim starciem „o wszystko”. Ten spór przetrwa, nawet gdy Kaczyński z Tuskiem dadzą się wypchnąć na emeryturę – pisze **Piotr Zaremba**

A2

Jestem takie zielsko na gruzach

RIGAMONTI RAZY 2
Co my teraz możemy? Tylko czynić drobne gesty, podejmować decyzje miejscowe, prowizoryczne i mieć nadzieję, że one coś zmieniają – mówi **Piotr Siemion**

A4

Trzecia tura, pierwsza tura

Nowy parlament może mocno skomplikować życie prezydentowi Francji. Szanse na bezwzględną większość dla jego znów przemianowej partii maleją

A15

Wielki cud kaloryczny

Świat produkuje coraz więcej jedzenia na coraz mniejszej powierzchni dla coraz większej liczby ludzi. I nawet zablokowanie przez Rosję eksportu żywności z Ukrainy nie odwróci tego trendu

A24

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

PATRZYM Y O B I E K T Y W N I E . P I S Z E M Y O D P O W I E D Z I A L N I E

PIĄTEK – NIEDZIELA
10–12 CZERWCA 2022
NR 112 (5774) ROK 28
ISSN 2080-6744
NR INDEKSU 348 066

DGP

gazetaprawna.pl
DZIENNIK.PL
FORSAL.PL

MAGAZYN NA WEEKEND

9,90 zł
CENA GAZETY
(W TYM 8% VAT)



KLASA ŚREDNIA SZYKUJE SIĘ NA KRYZYS

Pożegnanie z lattem

A28



UKRAINA

Rozsmarowywanie tuszonki

A8



USA

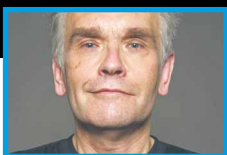
Jak margines przestał być marginesem

A12

9 772 080 674 051

PIOTR
ZAREMBA

publicysta



POLITYKA

Antoni Dudek to niewątpliwie jeden z najbardziej cierpliwych i bliskotliwych kronikarzy polskiej transformacji od komunizmu do demokracji i kapitalizmu. Dziejopis III RP, znający oraz przypominający tych dziejów detale. Co w dobie demokracji medialnej, kiedy pamięć moderatorów debaty często nie przekracza horyzontu paru tygodni, jest szczególnie cenne. Jego najnowsza książka „O dwóch takich, co podzieliły Polskę”, wywiad rzeka przeprowadzony przez Natalię Kołodyńską-Magdziarz, sekretarz redakcji Nowej Konfederacji, jest próbą odpowiedzi na pytanie, skąd się wziął dwubiegunowy podział naszej sceny politycznej. Czy jest on logiczny i racjonalny? I czy potrzebna jest tej polaryzacji tak bezwzględna postać? Nasze życie publiczne pełne jest przecież najbardziej brutalnych oskarżeń oraz pomówień. Media, z pewnymi wyjątkami, podgrzewają rytualne emocje. Tożsamościowe etykiety oparte są na maksymalnych uproszczeniach. To po części marketing, a po części ciąg zbio-
rowych psychoz.

Podział totalny

Ostateczną konkluzją Dudka, która padła podczas dyskusji o książce, jest twierdzenie, że rzecz nie w samym dwubiegunowym podziale, bo model dwupartyjny (w Polsce skądinąd niepełny) jest cechą wielu zdrowych demokracji, a w skrajnej postaci polaryzacji, która wyklucza jakąkolwiek kooperację, a przez to onieśmiela partie, gdy przychodzi rozważać przedsięwzięcia trudne lub mniej popularne. W takich warunkach trudno jest przebudować służbę zdrowia czy energetykę, nawet jeśli ma się arytmetyczną większość w parlamencie. Zarazem zaś Dudek powątpiewa w elementarną kompetencję naszej klasy politycznej. Zawodowy polityk to dla niego ktoś, kto potrafi jedynie brać udział w rytualnych przepychankach. Dlaczego miałby więc umieć sprawnie zmieniać Polskę?

Profesjonalizacja, a przez to alienacja klasy politycznej od całej reszty życia, to zjawisko nie tylko polskie. Warto jednak głębiej wniknąć w naturę polskiego podziału politycznego, zbierając fakty rozproszone w wywiadzie z Dudkiem i dodając inne.

Można twierdzić, że polaryzacja była dziełem niemal marketingowych operacji. W 1990 r. prawica solidarnościowa wywołała wojnę na górze, aby uwolnić się od kurateli takich autoritetów, jak Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki i Adam Michnik, chcących utrwalenia modelu zjednoczonego solidarnościowego obozu, co pozwoliłoby im zachować kontrolę nad całością dawnej opozycji. Przeciwwstawiono im logikę buntu przeciw ujednolicaniu opinii. Na początku 2006 r. mamy z kolei świadomą akcję Jarosława Kaczyńskiego, który po fasku rozmów PiS i PO w sprawie stworzenia koalicji rządowej nazwał ugrupowanie Tuska „partią układu”. W obu przypadkach to Kaczyński nakręcał atmosferę, bo to on był jednym z animatorów wojny na górze.

Ale nie był jedynym ojcem podziału, bo rozłam zaspokajał psychiczne potrzeby obu stron. Z jednej strony „naturalnych elit”, które broniły stanu posiadania i prawa wskazywania, kto jest godny być na górze, a kto nie. Z drugiej tych, którzy ogłaszali się reprezentantami „gorzej się mających” – materialnie i godnościowo („redystrybucja prestiżu” wymyślona przez Kaczyńskich, choć i przez Ludwika Dornę). Platforma początkowo nie znajdowała się po stronie „naturalnych elit”. Jednak po 2006 r. dość gładko weszła w rolę co najmniej ich sojusznika.

O co się biją

Równocześnie polaryzacja była fundowana na gruncie naturalnych rozłamów. Pierwszym był „podział postkomunistyczny”, zadekretowany przez socjolog prof. Mirosławę Grabowską, która szukała go w pierwszych wyborach. Początkowo kroił on polską scenę polityczną na część postkomunistyczną i solidarnościową. Lecz przypomnijmy, że koteria dawnych doradców Lecha Wałęsy, którzy nie chcieli dopuścić do wojny na górze, szukała jedności dawnych solidarnościowców, ale też odrzucała antykomunizm jako spoiwo tego mitycznego obozu.

Wojna polityków w Polsce jest bitwą różnych wartości, ale też gangsterskim starciem „o wszystko”. Obawiam się, że ten **spór przetrwa, nawet gdy Kaczyński z Tuskiem dadzą się wypchnąć na emerytury**

Wieczny spektakl

Dziś spór o pozostałości PRL nie odgrywa w polityce merytorycznie prawie żadnej roli. A jednak ślady tamtych doświadczeń odzywiają się przez cały czas, krzesząc nowe emocje. Jak wtedy, kiedy PiS z dużą przesadą, ale rozumiejąc potrzeby swojego elektoratu, tłumaczy zacieśnienie kontroli nad sądami niezdekommunizowaniem wymiaru sprawiedliwości przed 30 laty.

Zarazem ślady solidarnościowych rodowodów dzisiejszych liderów można też znaleźć w kłopotach z zawieraniem najbardziej elementarnych kompromisów. Polska polityka została w dużej mierze ukształtowana w cieniu moralistyki z czasów walki z komuną. Tę tradycję dziedziczy zarówno Kaczyński, szukający w moralizowaniu uzasadnień dla swoich wizji ustrojowo-społecznych, jak i jego przeciwnicy spod znaku dawnej Unii Wolności wychowani w kulturze gromkich protestów. Nieprzypadkowo obie strony tak chętnie posądzają przeciwnika o zamiar budowania peerelowskiego totalitaryzmu.

Bez wątplenia ważnym czynnikiem podziału jest też spór kulturowy – o naturę przemian cywilizacyjnych. Tym, którzy się na niego zżymają, że jest pozorny lub zbędny, przypomnę, że w Polsce spieramy się o procesy, które na Zachodzie już się dokonały (co nie znaczy, że są nieodwracalne), zaś w innych państwach postkomunistycznych często miały łagodniejszą formę (złaicyzowane doszczętnie Czechy).

W Polsce spór jest szczególnie gwałtowny, bo dzieli społeczeństwo na dwa potężne skrzydła. Są to podziały środowiskowe, ale i geograficzne. Chodzi nie tylko o takie spektakularne wybory jak prawo do aborcji czy związków jednopłciowych. Także o model wychowania

że Polska jest krajem bogatych willi przy kiepskich drogach, podczas gdy w Czechach czy na Węgrzech jest odwrotnie. Trzeba by pogłębić badań porównawczych, aby stwierdzić, ile w tym nagiej prawdy, a ile wrażeń. Dość, że PiS zarządził w tym względzie rewolucję, także godnościową. Przepchnął kilka zmian: usprawnienie systemu fiskalnego, sporo transferów socjalnych. Inne znów sfery zaniedbał, ze służbą zdrowia na czele, co drastycznie zobaczyliśmy w czasie pandemii.

Spór przetrwa

Zarazem dziś zaczynamy widzieć względność tych podziałów, czasem wręcz zamianę ról. Kilkubarwna opozycja nie tylko nie podważa transferów socjalnych (poza całkiem osobną Konfederacją) – ona próbuje walczyć z PiS jego własnym dawnym językiem. Można zrozumieć, że obwinia rządzących o inflację (choć robi to przesadnie, ale wszystko jest w naszej polityce przesadzone). Lecz kiedy liderzy PO i PSL przedstawiają rząd Morawieckiego jako zaprzeczany bankierom, doznaję wrażenia maskarady. No, ale PiS też przyzwyczaił nas do tego, że mówić można wszystko.

Kontury sporu ideowego są wciąż wyraźne. Kontury rewindykacji społecznych zmieniają się w ciąg nieustających licytacji. Bo w polaryzacji ważnym czynnikiem jest tabloidyzacja debaty, triumf mediów społecznościowych, logika wiecznego spektaklu. Mam wrażenie, że Dudek to akurat bagatelizuje.

Podczas dyskusji o książce doradca prezydenta prof. Andrzej Zybertowicz przekonywał, że zmiana dyskursu medialnego w wieczne od-mawianie PiS prawa do rządzenia odmieniła naturę debaty. Zmusiła rządzących do uprawiania też permanentnego marketingu. Z kolei prof. Paweł Śpiewak przytaknął temu tylko częściowo. Bo przecież czasem lider może też próbować wyjść poza tę logikę, edukując także własny elektorat. Padł przykład Andrzeja Dudy wetującego lex TVN.

Jestem gdzieś między obydwojma profesorami. Spektakl po trosze kręci się sam. A zarazem politycy, zwłaszcza ci konkretni liderzy, obciążyli go tak wieloma swoimi nawykami, fobiami i żałami, że istotnie nie wiemy, co tu jest niezmiennie, a co mogłoby ulec korekcie. Wiemy, jak łatwo Kaczyński popchnął swój obóz do gonitwy za celami, bez których może byłoby mu nawet na dłuższą metę łatwiej. Efemeryda wiecznego reformowania sądów w imię koncentracji woli politycznej to jeden z przykładów.

Ale czy Tusk jest lepszy? Można odnieść wrażenie, że będąc zawodnikiem sprawnym, upiera się przy swoim nawet za cenę ryzyka, że straci na tym opozycja jako całość. Typowym przykładem jest wojna o wspólną jej listę. Zamówiony przez DGP sondaż udowodnił, że idąc oddzielnymi blokami, partie opozycyjne mogłyby zdobyć więcej głosów. Ale lider PO chce przewodzić. Może to tylko kolejna gra marketingowa, by się odróżnić od reszty opozycji? Choć mam wrażenie, że on w to wierzy. Skoro to wojna dobra ze złem, jedność strony dobrej wydaje się czymś naturalnym. Rację ma szef Klubu Jagiellońskiego Piotr Trudnowski, przekonując, że polaryzacja totalna, blokowe myślenie daje przewagę PiS. Ale taka polaryzacja zaspokaja psychiczne potrzeby Tuska, także jego zaplecza, mediów, liderów opinii, celebrytów.

Podczas dyskusji o książce prof. Dudka sporo mówiono o przemianie pokoleniowej. I faktycznie wymiana liderów na innych, mniej wojowniczych, mogłaby przynieść korekty czy niespodzianki. Kilka sukcesów Dudy forsującego bardziej koncyliacyjne podejście do polityki mogłoby na to wskazywać. Zarazem jednak młodzi politycy wychowani są w kulturze totalnego trollingu. Na dokładkę w tej wojnie trolli ważną rolę odgrywa inna stawka. Przypomniał o tym jeden z czołowych autorów Nowej Konfederacji Stefan Sękowski: to wojna o maksymalne zawłaszczenie instytucji państwa. Kaczyński nazwał kiedyś to zjawisko TKM, ale PiS co najmniej dorównał dziś w tej sztuce establishmentowej PO. Wojna polityków w Polsce jest bitwą różnych wartości (także o zakres suwerenności naszego kraju w Unii, ten problem prof. Dudek wyraźnie lekceważy). Lecz jest też gangsterskim starciem o wszystko. I obawiam się, że ten spór przetrwa, nawet gdy Kaczyński z Tuskiem dadzą się wypchnąć na polityczne emerytury. ©

czy kultury. Długo wydawało się, że Polska jest europejskim ewenementem – nawet część młodzieży odrzucała wolną aborcję, a małżeństwa jednopłciowe były niepopularne. Dziś trend się odwrócił – i do woli można dyskutować, czy to konsekwencja kompromitacji Kościoła, czy błędów rządzących, czy po prostu musiało u nas być jak wszędzie. Przy czym każda ze stron ma poczucie bolesnej inwazji na swoje wartości. Prawica oplakuje stary świat. Ale przecież kręgi progresywne budują poprzez polityczną poprawność system własnych świętości i własnych zakazów, na dokładkę powołując się na rozmaite konieczności i normy międzynarodowe.

Język ministra edukacji Przemysława Czarnka czy małopolskiej kurator Barbary Nowak to język obłożonej twierdzy, choć to ich formacja rządzi. Ale przecież i strona liberalna raz za razem popada w histerię, jak wtedy, gdy oprotostowuje rzekomy medyczny rejestr ciąży, choć rzecz dotyczy przepisów wprowadzanych przez UE. Oczywiście każdy taki spór jest wyolbrzymiany przez logikę partyjnej wojny – polaryzacja zbiera tu swoje szczególne żniwo. 20 lat temu PO była partią przynajmniej w części konserwatywną. Dziś nie jest.

Czy konserwatyzm przegrywa definitywnie? Nie wiemy. Wiemy za to, choć prof. Dudek to akurat trochę przegapia, że przechył Polski w inną stronę niż większości Europy to jeden z powodów tak mocnych pretensji instytucji międzynarodowych do ustrojowych innowacji PiS. Można do woli tłumaczyć, że wpływ na nominacje sędziowskie politycy mają też w Hiszpanii czy Niemczech. W Polsce to ma być złe, bo służy aksjologii na Zachodzie w dużej mierze już wyklętej. Tak sądzi większość europarlamentu.

No i jest wielki spór o transformację społeczno-gospodarczą. Do której ja mam, jak prof. Dudek, wiele uznania, ale która być może była czy pozostała zbyt jednostronna – co do istoty i co do języka. Już przed 20 laty padały argumenty,



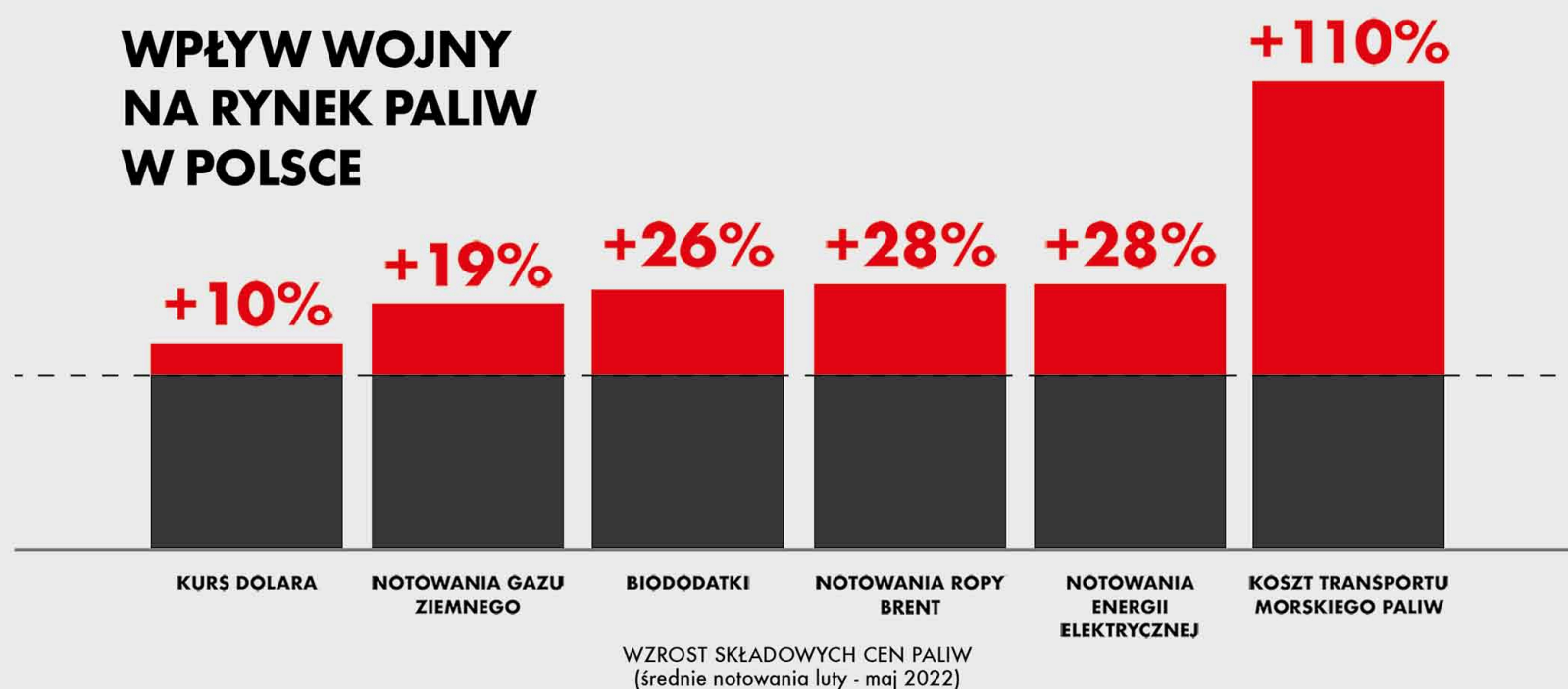
Kontury sporu ideowego są wciąż wyraźne. Kontury rewindykacji społecznych zmieniają się w ciąg nieustających licytacji. Bo w polaryzacji ważnym czynnikiem jest tabloidyzacja debaty, triumf mediów społecznościowych, logika wiecznego spektaklu



ZYSK GRUPY ORLEN Z RÓŻNYCH OBSZARÓW DZIAŁALNOŚCI



WPŁYW WOJNY NA RYNEK PALIW W POLSCE



JESTEM TAKIE ZIELSKO NA GRUZACH

Co my teraz
możemy? Tylko
czynić drobne
gesty, podejmować
decyzje miejscowe,
prowizoryczne
i **mieć nadzieję,
że one coś zmienią**

Z Piotrem Siemionem
rozmawia Magdalena Rigamonti

**Wojna siedzi w panu bardziej niż we mnie.
Może naprawdę siedzi.**

**Pan nie napisał swojej nowej powieści tylko
dlatego, że przyszła panu do głowy fajna
historia z żołnierzami wyklętymi, Ruskimi
i Niemcami, i szwedzkim lekarzem wystanym
na wojnę za karę, za pedofilię...**

Są w psychologii teorie, w myśl których to, że bomby spadały na naszych ojców i dziadków, to pół biedy. Gorzej, że my ten szok dziedziczymy i dwa, trzy pokolenia później to się odbija jakąś mentalną czkawką. Nasz organizm za nas pamięta wojnę. Tyle teoria. A z oczywistości praktycznych to jestem z Wrocławia, miasta powojennych gruzów, miasta przesiedleńców i uchodźców. Ze Lwowa w całości przyjechał tu tylko uniwersytet i tramwajarze. Pozostały świat się całkowicie

odtwarzał. I ja, z całym pokoleniem PRL, jestem takie zielsko na gruzach. Skądinąd Europa Zachodnia, kiedy już do niej zacząłem jeździć, była dla mnie przerażająca. Przerażało mnie to, że tam w domach są rzeczy od stu lat albo i dłużej, że te domy stoją od dawna, że nikt ich nie podpalał, nie zmieniał w gruz. Trochę luźniejsze pod tym względem były dla mnie Stany Zjednoczone, w których ładnych parę lat mieszkałem: wszystko jednorazowe i z tektury, oprócz Nowego Jorku i jeszcze paru miejsc.

Kilkanaście lat pan tam mieszkał, skończył pan tam prawo.

W Ameryce wszystko było nowe, wszystko było do wyrzucenia. Nikt się specjalnie z rzeczami nie cackał. Odbywało się to nie z powodu warunków wojennych, tylko dobrobytu. Stać nas, wolno nam. Patrzyłem na tę jednorazowość z perspektywy Polaka: zindoktrynowanego przez wojnę, uświadomionego przez starszych, że ład jest kruchy, że pilnuj tego, dziecko, bo przyjdą Niemcy i cię zaborą. Przecież to zostało w języku. Jeszcze się czasem mówi: „Na wypadek W”, czyli na wypadek wojny. Albo: „Niemcy we wsi”, czyli nie da się czegoś zrobić. Nie trwałość, prowizoryczność – one są w nas zakodowane. Myślę, że tamto pokolenie tak dużo znosiło w czasach PRL właśnie

z powodu tego ładu. Dla nich ład był wtedy, kiedy nie było wojny. Jest oczywiście drugi biegun pragnienia: skoro wszystko ma tendencję, żeby się walić i palić, to gdzie szukać – a szukać trzeba – stałości czy działań ocalających.

Na pewno nie w pana literaturze. Jest w niej strach, żadnego bezpiecznika.

Taką samą bezradność teraz odczuwamy w kontekście Ukrainy. Wcześniej moją powieść o chaosie powojnia odczytywałyby pani może inaczej, jako pewne ćwiczenie literackie. Co my teraz możemy? Tak jak bohaterowie „Bella, ciao” – tylko czynić drobne gesty, podejmować decyzje miejscowe, prowizoryczne, i mieć nadzieję, że one coś zmienią. Możemy pomóc, przemocować kogoś, nakarmić. Można też, jak tu, w powieści, gdzie zamiast gromadą iść na pewną śmierć, stary oficer prowadzi swoich podwładnych ku ocaleniu. Oczywiście nie wolno mu im o tym powiedzieć.

**Pana bohaterka Spinka, 17-letnia dziewczynka...
17-letnia morderczyni.**

17-letnia poszukiwaczka miłości i tożsamości pyta: za co walczyliśmy, po co walczyliśmy? Jest wypalona. Ma dosyć.



**Magdalena
i Maksymilian
Rigamonti**





for. Maksymilian Riganoni

Ma 17 lat.
Ale jest wypaloną morderczynią.

I bohaterką.
Potem historia może zrobić z niej każdego. Nie Spinkę, tylko bohaterską Inkę, i postawić na pomniki. Albo rozstrzelać bez sądu i zakopać. Ale na razie Spinka ma 17 lat, rozpieprzone życie i rozpaczliwie się rozgląda. Nie: jak tu pomagać innym, bo to przecież pewien luksus, tylko: gdzie samej znaleźć odrobinę bezpieczeństwa, schronienia.

Robi pan z niej lesbijkę.
Absolutnie nie! To, że Spinka znajduje azyl u innej dziewczyny, nie jest kwestią skłonności seksualnych, tylko braku innego wyjścia. I będzie eufemizmem, jeśli powiem, że świat mężczyzn źle jej się kojarzy. Dla niej mężczyźni z karabinami mają dwie role – albo zabijają, albo podporządkowują seksualnie. A ona szuka miejsca, w którym będzie mogła odpocząć, będzie mogła być człowiekiem. Nie zgodzę się ani na takie określenie, ani na opinię, że ta książka jest rozpaczliwa i odbierająca wszelką nadzieję. Ona jest o poszukiwaniu. Często daremnym, często śmiesznym, ale o poszukiwaniu wyjścia z pułapki historii.

U pana wszyscy są źli.
Bywają dobrzy, czasem wbrew sobie. Zasadniczo jednak grabie grabią do siebie. Ale tak, kosmos „Bella, ciao” to jest zły świat, czasem karykaturalnie zły.

Pan zawsze zagęszcza rzeczywistość.
Zagęszczam. Pokazuję stan po wojnie, jeszcze bez policji, bez prądu, bez zasad.

Za to z Hotelem Piast.
I fortepian stoi, na który łakomie patrzą jeźdźcy, czyli rosyjscy trochę żołnierze, trochę maruderzy. Bo taki fortepian dobrze się pali. Jakoś nie mam talentu do obrazków z czytelnik, przynoszących od razu nadzieję i ulgę. Moja literatura, jak to mówią Rosjanie, jest czornucha i pornucha. Samo zło? Nie samo, bo jednak w obliczu paraliżującej sytuacji i historycznej, i indywidualnej moi bohaterowie próbują żyć.

„Żyć chcę” – mówi Spinka/Inka.
Nie wie jak, ale chce żyć. Na pewno bez kaidan i okropności. Może to nie są wielkie ambicje, ale są autentyczne. Moi bohaterowie, zamiast usiąść i płakać, wstają i zaczynają kombinować. To rys mało bohaterski, ale trzeba pamiętać, że zawsze, kiedy Don Kichot się w czymś zakałapuwał, to Sancho Pansa wstawał i wyciągał go z opresji, mimo że



Kiedy jest się pisarzem, to eliminuje się w oczach tzw. normalnych ludzi z grona normalnych ludzi. Pisarz trochę jest tu, a trochę w obłokach – tak myślimy. I jest w tym odrobina prawdy

przecież jest postacią antybohaterską. I myślę, że ten instynkt Sancho Pansy jest w nas, Polakach, bardzo silny. W tej książce wybrzmiewa kilka moich historii rodzinnych. Mój dziadek przez trzy lata po wojnie ukrywał się w Łebie pod zmienionym nazwiskiem, po czym trafił do stalinowskiego więzienia. Jeden ze stryjów w 19. roku życia został ludowym oficerem i komendantem miasta. Ocalił Jarocin przed spaleniem przez Rosjan w 1945 r. Dziadek był też w kontrwywiadzie AK na Białostocczyźnie, był w lesie. Dla nich straszną próbą okazał się pokój. Jakże tak, po prostu zwyczajnie żyć? Bez skoków w otchłań, bez tych rozpalonych przez wojnę wielkich ambicji. To jest dopiero przejście: z euforii do normalności, tej małej stabilizacji, kiedy się już wie, że nigdzie stąd nie skoczysz i że w państwie już nic nie zrobisz z tą plamą więzienną i wojenną.

Ten młodziutki oficer jest trochę jak ten Gamoń, oficer z awansu społecznego opisany w „Bella, Ciao”.
Gamoń to brzmi prawie jak Siemion, prawda? Ale w tym 19. roku życia on już był po paru latach w lesie i zamordował wielu ludzi. I potem z tym żył.

Dożył pana?
Dożył. Pił dużo i miał klasyczne PTSD. ▶

►Odcisnęło się na jego rodzinie?

Tak, jak każdy syndrom stresu pourazowego. Przez dekady to były powszechne sytuacje. We Wrocławiu, gdzie się nie obejrzało, byli ludzie z lasu. Większość nie chciała o tym mówić. Taką wojnę się nosi przez całe życie. I nie wie się nawet, co to znaczy, żeby było normalnie. Tęsknimy do tego, żeby było normalnie, ale już nawet nie wiemy, co to słowo oznacza.

Żeby zjeść domowe jedzenie, żeby gęś zjeść, jak marzy pana książkowy szwedzki lekarz. Szwed jest z uładzonego miejsca, z porządnego kraju, z którego trafia w sam środek czegoś, co jest jak z pejzażu Beksińskiego. I słabo to znosi.

On tam jest za karę, za pedofilie.

Tyński, główny oficer, też ma swoje za uszami...

Tyński to żołnierz wyklęty. Watażka o rysie pedofilskim. Odważnie. Na wojnie, czy też w takim powojniu, są natychmiast silniejsi i słabsi.

Nie usprawiedliwia pan tego, mam nadzieję? Nie usprawiedliwiam siły. Mówię tylko, że słabsi mają przegwizdane, a najsłabsi, tacy jak sześćioletnie samotne dziecko, to już w ogóle.

Adik. Zdrobnienie od Adolf. Ile takich wilczych dzieci, sierot błakających się po lasach, kradnących, zabijających, było w Prusach Wschodnich po wojnie? Kilkadzieсят tysięcy. To jest zbadane. Jest nawet instytut do badania tych wilczych dzieci. Opisane przypadki to głównie dzieci z okolic Królewca. Cała historia wydaje się okropnością, jak z jakiejś apokaliptycznej fantazji.

O obrazach Beksińskiego już pan mówił. Obraz Maxa Ernsta „Europa po deszczu” to też była moja wielka inspiracja.

Pana bohater mówi: „Ta twoja cudaczna Europa to już był czysty rak, wiesz dobrze. Śmierdząca, chora krew. Nowotwór. To się go wypaliło. Jak gniazdo węża. A jak będzie trzeba, znowu się wypali”. To akurat Rosjanin mówi. A jego słowa to luźna trawestacja poematu Aleksandra Błoka „Scytowie”. Tam jest o tym, że próbowaliśmy cię oswoić, Europo, ale się nie dałaś i teraz to masz u nas przegwizdane. Dziś rosyjskich poetów się nie czyta, ale wielu Rosjan ma właśnie taki stosunek do Europy.

Powinien pan zamieścić w swojej książce potężne przypisy, przewodnik po powieści. Gdybym zrobił coś takiego, toby wyszło, że połowa książki nie jest moja. No, może przesadzam. Ale zgoda, tam jest co chwilę jakaś inspiracja, trawestacja, dialogi zaciągnięte od innych. Cały czas toczę cichą dyskusję z umarłymi. Ale są różnice. O ile w „Ulisiesie” dla Joyce’a było ważne, że idzie precyzyjnie tędy, tu odtwarza mit taki, a tam owaki, o tyle u mnie to nie ma znaczenia. Mnie interesują echa, pohukiwania bardziej niż precyzyjna sieć. Zresztą w czasie wojny i po wojnie nie ma jeszcze żadnych precyzyjnych sieci i długo nie będzie.

Przecież panu też chodzi o to, żeby czytany inteligent doznawał ekscytacji przy lekturze „Bella, ciao”. Raczej szło mi o to, żeby czytelnik chociaż pomyślał: to brzmi znajomo. Jest taki zapomniany obraz poetycki T.S. Eliota „Ziemia jałowa”. Tam bohater siedzi nad kanałem portowym i pyta, co dzisiaj ma z tej całej odziedziczonej kultury. Hałdę potrzaskanych wizerunków, hałdę potrzaskanych obrazów. Aluzje literackie, filmowe czy inne w mojej książce są właśnie takimi potrzaskanymi fragmentami czegoś, co zapewne niegdyś było całością. Momentami tylko składają się w wyraźny obraz. A tak to tylko gruzy, zielsko.

W pana świecie wszystko jest potrzaskane. Jest taki stary suchar, że z akwariu da się zrobić zupę rybną, ale trudniej jest z zupy rybnej zrobić akwariu. Niestety, to jest właśnie zadanie dla bohaterów, których stworzyłem. Oni muszą się nauczyć żyć na potłuczonym szkle.

Tylko jak długo, ile pokoleń? Przykład Ukrainy pokazuje, że jak już się prawie wszystko udaje, już tego szkła nie

”

Europa Zachodnia, kiedy już do niej zacząłem jeździć, była dla mnie przerażająca. Przerażało mnie to, że tam w domach są rzeczy od stu lat albo i dłużej, że te domy stoją od dawna, że nikt ich nie podpalał, nie zmieniał w gruz

ma, to znowu słyszymy brzęk, huk i zaczyna się kolejna wojna. Ale chwileczkę – przez te pani pytania idziemy w nastroje minorowe: tu żołnierze wyklęci, tu ziemia przeklęta. A ja pisałem o czymś więcej: w tym potrzaskanym świecie można znaleźć nowe buty, rozpalic ogień, podjąc decyzję, żeby jednak „tak”. Że raczej coś niż nic. Nie chcę się tutaj porównywać do żadnych wielgasów literatury, ale przecież nieszcześnik doktor Rieux w „Dżumie” Camusa podobnie wychodzi z kryjówki na ulicę i leczy. Jest co prawda beznadzieja, ale alternatywą jest się i płakać. Wiem, chłopackie myślenie, może naiwne, ale...

Do tej wojny, która jest w genach, do pisania o niej, się dorasta? Hmm... Niedorośli piszą historię w stylu „pif-paf”. Piszą fantasy, a tam łatwiej dobro zwycięża. Od początku też wiadomo, którzy są dobrzy, a którzy źli.

A u pana nie wiadomo nawet, czy to fiction czy non-fiction. Wśród dawnych trofeów mam doktorat z literatury, to znaczy, że znam też wszystkie sztuczki. Sztuczki, w które już od Homera autorzy nas wkręcają. Ale sztuczki i reguły swoją drogą, a moja opowieść swoją. Nie chcę brzmieć jak wykładowca.

Uczy pan młodych pisarzy, uczestniczą w pana warsztatach, pokazują swoje teksty. Uczę ich przede wszystkim, żeby się nie bać własnego głosu. Świat im wmawia, że są niczym, że dla nich to tylko ośła łączka, że jest tylu wielkich i nie ma co się pchać. Z dumą mogę powiedzieć, że w ostatnim czasie ukazały się debiutanckie książki dwóch pisarek, od których dostałem dedykację w stylu: odkorkowałeś mi gardło.

Swoje pan też odkorkował już dawno głośnymi „Niskimi Łakami”, ale to było 22 lata temu. Potem jeszcze jedna powieść, dziennik i cisza. Nie piszę na akord. Mam inny zawód. Jestem prawnikiem, byłem menedżerem.

Przez lata pracował pan w Orleniu. Dziesięć lat z okładem. Zacząłem za jednego rządu, potem inny rząd nastąpił i kolejny.

I w końcu PiS się z panem pożegnał. Sielanka nie mogła trwać wiecznie. Poza tym to nie była pierwsza korporacja, w której pracowałem. Były inne rozstania. Nie ma o czym mówić.

Gdyby nadal pan pracował w spółce Skarbu Państwa, to tej Spinki/Inki, wyklętej morderczyni, władza mogłaby panu nie darować. Cóż mnie mogą obchodzić opinie władzy o literaturze? Zresztą pisarstwo to rodzaj wariackich papierów. Kiedy jest się pisarzem, to eliminuje się w oczach tzw. normalnych ludzi z grona normalnych ludzi. Pisarz trochę jest tu, a trochę w obłokach – tak myślimy. I jest w tym odrobina prawdy. Piszemy w zamknięciu. Dlatego – mówię serio – lubię wychodzić do pracy, iść między ludzi. Zastanawia mnie, skąd pisarze, którzy tylko siedzą w domu, biorą pomysły na postaci, na sytuacje. Codziennie więc wychodzę posłuchać głosów miasta. Śmieję się, że jestem harfą eolską. Wie pani, co to jest? Taka zabawka XIX-wieczna, podobna trochę do fletni peruwiańskiej. Stawiało się to gdzieś w oknie, w przeciągu, i samo gwizdało. Romantycy wierzyli, że w ten sposób sama natura przemawia, we własnej osobie. Wyobrażam sobie, że też jestem taką harfą, gdzieś tam mnie sadzają, albo sam się sadzam, i słucham. Idą przeze mnie dźwięki, historie, relacje. A potem przenoszę to wszystko na papier. To jakaś fikcja oczywiście, ale miła. Byłoby gorzej, gdybym miał wszystko wykalkulowane. Wbijam składniki, dobieram parametry, trzy razy przekreczam korbką i wypada powieść. Prawda jest taka, że nawet gdy zasiadam z planem, ze swoim zeszykiem, w połowie pisania jestem już zupełnie gdzie indziej i sam nie wiem, jak tam trafiłem.

Krótkimi zdaniem, pędem i akcją. To, jak piszę, wynika z mojego sprzeciwu wobec polskiej tradycji literackiej, której esencją jest rozlewność i niespieszność. Polska literatura jest mało energetyczna, w niej naprawdę wszystko się ciągnie jak roztopiony ser z pizzy. A mnie chodzi o napakowanie mojej bajki energią. Nie, nie o rąbanek tu chodzi, nie o tłuczenie zdań jak w niedzielę schabowego. Tylko o to,

żeby był i gaz, i hamulec. Czasem jest jazda figurowa, czasem panczen. Nie chodzi o krótkie, muskularne zdania, tylko o to, że ma się zdzić.

I żeby nas, czytelników, zgubić, wrzucić w ten chaos, żebyśmy byli w tej wojnie. Żebyście się poczuli, jak ci bohaterowie tuż po wojnie, kiedy jeszcze nic nie wiadomo, bo trwa ten przeraźliwy chaos. Widzę po recenzjach, że ta powieść została chętnie przyjęta i z lewej, i z prawej strony, i przez prawaków, i lewaków. Może właśnie dlatego, że wspólnie odczuwamy ten chaos dzisiejszego czasu.

Chyba tak, bo nie ma tu dobrych bohaterów, nie ma z kim się zidentyfikować. Nie lubi pani „złoli” w czarnych kapeluszach? A ja ich lubię opisywać. Po „Niskich Łakach” kolega, który twierdził, że rozpoznał siebie w jednej z postaci, powiedział: „Mam do ciebie tylko jedno pytanie: jak można tak nienawidzić ludzi?”.

No właśnie. Jak można? To nie jest nienawiść. Prędeż kliniczny opis przypadku. Różne wydawnictwa, które wdziały tekst „Bella, ciao”, jakoś bały się tej książki. Słyszałem, że to jest „zbyt...” i tu padały różne przysłowki i przymiotniki. Trudno, wygrało Wydawnictwo Filtry, które było odważne.

I okazało się, że nie jest „zbyt”, tylko w punkt. Bo wiem, że znalazłem odpowiednie słowo, właściwy język, i nic w tej książce nie jest „zbyt”. Pisząc, wiem, co moi bohaterowie robili kiedyś, co teraz i gdzie będą za 20 lat. Wtedy otwiera się przestrzeń na pokazanie historii, czasów, innych ludzi. Nie mówię, że trzeba pisać długachne sagi, tylko że gdy pisarz czuje taką przestrzeń, rozumie, jak ten międzyludzki świat „chodzi”, będzie go umiał oddać. Nawet w reporterskim skrócie. Banał powiedzieć, że dziecko nosi w sobie przeczucie starca, ale to właśnie chyba o to chodzi w powieści.

To pisanie o wojnie, o powojnie, to też leczy nie się z pana PTSD? Tak, ale ja tego nie robię świadomie. Myślałem, że napisałem historię o innych, a słyszę, jak ktoś mówi: „Teraz już rozumiem, dlaczego taki jesteś”. I może ja już też trochę więcej rozumiem. Tylko o jakim leczeniu mówimy? Przywracaniu do czyjej normalności, jak zdefiniowanej? To pułapka, za którą zaczyna się publicystyka polityczna, nie pisarstwo. Jeśli mam poważnie traktować siebie jako pisarza, to nie jestem, nie mogę być jednym z tych albo z tamtych. Powtórzę za Lechem Janerką: „Nie jestem z nikim. Robię uniki, nie ma mnie”. To jest właściwa postawa. Miło być w jakimś klubie, ale nie chcę dołączać do nikogo na siłę, bo na tym straci moja opowieść.

Ta wojna w Ukrainie trochę panu spadła z nieba. Niestety, wojna uproszcila odczytywanie „Bella, ciao”. To miała być książka abstrakcyjna, taka spekulatywna, w stylu: co by było, gdyby, albo: a wyobraźmy sobie, że jest wojna. Zamiast sobie wyobrażać, że jacyś ruscj żołnierze gwałcą, kradną, mordują, mamy takich zbrodniarzy żywych i tuż za rogiem. Tu są moje notatki. Pisane na długo przed wojną. Proszę spojrzeć, jest „idi na chui, idi na chui”. Tak mówią u mnie ruscj żołnierze.

Spadła panu ta wojna z nieba czy nie? Powtarzam, nadmiernie uproszcila odczytanie. Na wojnie w Ukrainie jest wszystko jasne. Wiadomo, kto napadł, kto się broni, kto jest dobry, a kto zły. Ja swoją książkę pisałem przed wojną, za to w Polsce podzielonej między nienawidzące się grupy. I uważam, że literatura ma ambitniejsze zadanie, niż tylko pokazać ofiary w bieli i napastników w czerni. Kilka lat temu na festiwalu Conrada w Krakowie redaktor Jerzy Illg zapytał mnie: „A pan coś jeszcze pisze?”. Odpowiedziałem, że zabieram się za historię, w której żołnierze wyklęci uciekają łodzią przez morze w stronę zbawczej Europy. Akurat Morze Śródziemne było pełne takich łodzi. Obsmiał mnie, ale mówiłem poważnie. Bo już wtedy zastanawiałem się nad tym, co by było, gdyby tak nasze przyzwyczajenia i poglądy na temat historii trochę rozwarstwić, popatrzeć na nie pod światło i zobaczyć, co tam w nich siedzi, oprócz tego, że są fajne, bo są nasze, i czy na pewno wszystko jest tak, jak nam się wydaje. ©

Trójmorze, czyli siła współpracy

Rola regionu Trójmorza wraz z tworzącymi go państwami jest nie do przecenienia, zarówno w wymiarze geopolitycznym, jak i gospodarczym. Widać to było podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos – mówi Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, i podkreśla, że Fundusz Trójmorza intensyfikuje swoje działania wspierające rozwój infrastruktury cyfrowej, transportowo-logistycznej i energetycznej.

Na jakim etapie rozwoju jest obecnie Fundusz Trójmorza?

Warto na samym początku dokonać rozróżnienia: Inicjatywa Trójmorza, jest przedsięwzięciem na poziomie politycznym, powołana została w 2015 r., przez prezydentów 12 państw Europy Środkowo-Wschodniej na rzecz wzmocnienia relacji politycznych i biznesowych. Stała się ona inspiracją dla polskiego banku rozwoju, BGK, do stworzenia na zasadach komercyjnych międzynarodowego wehikułu finansowego, czyli Funduszu Trójmorza. Został on zarejestrowany w 2019 r. w Luksemburgu, dzisiaj inwestorami są banki i instytucje rozwoju z dziewięciu państw. Fundusz postawił sobie za cel realizację inwestycji w trzech obszarach, które obejmuje inicjatywa prezydencka. Chodzi o rozwój infrastruktury transportowo-logistycznej, energetycznej i cyfrowej w sposób zapewniający zwrot na zainwestowanym kapitale. Jest to uzupełnienie przedsięwzięć realizowanych bezpośrednio z budżetów państw oraz ze środków europejskich. Dodatkową korzyścią działania funduszu jest zwrócenie uwagi na ogromną potrzebę współpracy w regionie, w tym na przedsięwzięcia publiczno-prywatne.

Współpraca na osi Północ-Południe jest bardzo ważna. Wyliczone potrzeby inwestycyjne tylko w tych trzech wymienionych obszarach, w porównaniu do sytuacji w Europie Zachodniej, sięgają 600 mld euro, a uwzględniając kryzys spowodowany pandemią i wojną w Ukrainie, wylicza się je nawet na 650 mld euro. Jest zatem przestrzeń dla licznych inwestycji, w tym komercyjnych. Wielkość Fundu-

szu Trójmorza zaplanowano na 3 do 5 mld euro, co oznacza pokrycie niecałego 1 proc. potrzeb. Obecnie w funduszu jest 928 mln euro.

Fundusz ma być bodźcem do silniejszej współpracy między państwami regionu, żeby zaspokoić ogromne potrzeby infrastrukturalne. Podam przykład: na 458 km granicy między Rumunią i Bułgarią, przebiegającej na Dunaju, są tylko dwa mosty.

Fundusz utworzono w 2019 r. – od tego czasu świat się diametralnie zmienił.

Umowę z doradcą inwestycyjnym na zarządzanie Funduszem podpisaliśmy 26 lutego 2020 r. Zawarliśmy ją z firmą Amber Infrastructure z Londynu, współpracującą z rządem brytyjskim przy realizacji inwestycji i partnerstwie publiczno-prywatnym. Dwa tygodnie później świat z powodu pandemii został zamknięty. Jednak niezależnie od tego firma ta włożyła ogromną pracę w zidentyfikowanie ważnych projektów infrastrukturalnych w regionie. Trzy inwestycje zostały zrealizowane, każda w innym obszarze: są to farmy fotowoltaiczne budowane na terenie aż pięciu państw, centrum danych oraz leasing lokomotyw. Inwestycje realizowane przez Fundusz Trójmorza muszą przekraczać granice albo mieć wpływ na minimum dwa państwa, a najlepiej na więcej, bo to tworzy potencjał gospodarczy całego regionu. Jesteśmy zatem w momencie, kiedy budujemy dowody prawidłowej realizacji funduszu dla inwestorów zagranicznych. Naszym celem jest pozyskanie kapitału przede wszystkim od dużych instytucji, funduszy emerytalnych, które myślą o długoterminowym finansowaniu. Okres inwestycyjny funduszu wynosi 15 lat, z możliwością przedłużenia.

Dom Trójmorza pojawił się po raz pierwszy na zakończonym niedawno Światowym Forum Ekonomicznym w Davos pośród pawilonów państw i globalnych firm. Jaka była geneza jego utworzenia?

Chodziło o to, żeby pokazać potencjał regionu i poszczególnych państw. Poprzez panele dyskusyjne, spotkania mieliśmy okazję zwrócić uwagę na region, który obejmuje 30 proc. obszaru UE i 25 proc. populacji. Nawiasem mówiąc, w stosunku do tych liczb PKB jest proporcjonalnie za małe, wynosi 15-18 proc., w zależności od sposobu obliczeń. To kolejne potwierdzenie ogromnej przestrzeni do inwestycji. W Domu Trójmorza mieliśmy ważne wydarzenia i wystąpienia polityczne, szeroko odnotowywane – wymienię przede wszystkim wystąpienie prezydenta Polski i debatę z prezydentami Łotwy i Estonii. W jej trakcie podkreślono wagę współpracy i znaczenie regionu dla globalnych łańcuchów gospodarczych. Pojawił się również kontekst szczytu Trójmorza, który odbędzie się w Rydze 20-21 czerwca. Będzie mu towarzyszyć Forum Biznesowe, na którym zaprezentujemy szansę i możliwości rozwoju na poziomie gospodarczym. Chodzi o to, żeby nie kierować już oczu wyłącznie na Zachód, ale dostrzegać ważną oś Północ-Południe. Nie bez znaczenia jest także potencjał turystyczny całego regionu.

W Domu Trójmorza gościliśmy również byłych prezydentów. W dyskusjach brali udział m.in. przedstawiciele wielu ministerstw państw regionu, mieliśmy bardzo ważny panel inauguracyjny z dyrektorem zarządzającym Międzynarodowego Funduszu Walutowego Kristaliną Georgiewą, która pokazała kierunki rozwoju gospodarki światowej oraz zagrożenia. Działaliśmy wspólnie z Atlantic Council, gościliśmy przedstawicieli kierownictwa największych firm na świecie, jak Google, General Electric, instytucji finansowych, m.in. Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, Europejskiego Banku Inwestycyjnego, największego banku rozwoju na świecie, czyli niemieckiego KfW. Mogliśmy wysłuchać wystąpienia Tadashi Maedy, gubernatora Japan Bank for International Cooperation, czyli japońskiego banku rozwoju. Odwiedziła nas również Reta Jo Lewis, prezes Export-Import Bank of the United States, największego państwowego banku obsługującego handel zagraniczny w Stanach Zjednoczonych.



Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, w Domu Trójmorza w Davos.

Niektóre dyskusje były częściowo pokazywane w CNBC – jeden z najważniejszych paneli energetycznych, poświęcony sektorowi nuklearnemu, prowadziła znana dziennikarka tej telewizji, Hadley Gamble. Łącząc się właśnie z Domu Trójmorza, brałam również udział w konferencji gospodarczej poświęconej Funduszowi oraz potencjałowi regionu, z udziałem inwestorów japońskich, zorganizowanej przez ambasady Polski i Łotwy w Tokio.

Wszystko to potwierdza zainteresowanie, potencjał i wolę rozwoju regionu strategicznie ważnego, otwierającego trzy główne bramy: bałtycką, adriatycką i Morza Czarnego – tu jest wyzwanie, ale ta sytuacja nie będzie trwała cały czas.

Wątek Ukrainy powracał w wielu rozmowach w Domu Trójmorza.

Widać było w tych dyskusjach, że nikt nie ma wątpliwości, jak ważny jest region Trójmorza w obecnej sytuacji geopolitycznej. Spójrzmy na przykład na kwestię inwestycji infrastrukturalnych i potrzebę zapewnienia transportu zboża z Ukrainy, żeby nie mieć kolejnych wyzwań i kryzysu żywnościowego. Bezpieczeństwo cyfrowe i wymiana informacji z obszaru infrastruktury cyfrowej, wzajemne ostrzeganie się przed cyberatakami to kolejny wątek, obejmujący również współpracę z Ukrainą. Wreszcie jest kwestia bezpieczeństwa energetycznego, czyli dywersyfikacji źródeł energii, zabezpieczenia innych surowców niż gaz czy ropa z Rosji. Podpisaliśmy tzw. mapę drogową (road map) z rumuńskim Transgazem, dotyczącą kolejnych inwestycji w infrastrukturę gazową typu greenfield.

Bardzo ważne było podkreślanie roli regionu Trójmorza jako tego stanowiącego wschodnią flankę NATO. Rumunia i Słowacja mają taką samą sytuację jak my, są najbliższymi partnerami i sąsiadami Ukrainy. W kategoriach gospodarczych, łącząc konsekwencje wojny i pandemii, mamy do czynienia z przerwaniem łańcuchów dostaw i poszukiwaniem krótszych oraz z koniecznością tworzenia nowych modeli biznesowych. Europa Środkowo-Wschodnia i region Trójmorza mogą zyskać w związku z tym na atrakcyjności dla inwestorów.

Dyskusje dotyczyły również odbudowywania Ukrainy w przyszłości, przy udziale państw Trójmorza.

Działania związane z Ukrainą potwierdzają podmiotowość Trójmorza oraz siłę płynącą ze współpracy.

Zdecydowanie tak, najczęściej powtarzam na wszystkich konferencjach: idea Trójmorza i Funduszu to nie historia o pieniądzach i inwestycjach, które oczywiście są potrzebne. To nie historia o spotkaniach, które oczywiście się odbywają. To jest historia o ogromnej, budującej się współpracy na osi Północ-Południe i o tym, że razem można zdziałać dużo więcej niż osobno.

Jacek Pochłopień



Inicjatywa Trójmorza została powołana jako forum współpracy 12 państw: Austrii, Bułgarii, Chorwacji, Czech, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii, Słowacji, Słowenii i Węgier.

POBIERZ WYDANIE SPECJALNE NA ŚWIATOWE FORUM EKONOMICZNE DAVOS 2022

Wydanie polskie i angielskie dostępne na edgp.gazetaprawna.pl

PARTNERZY PROJEKTU



Separatyści z Doniecka i Ługańska, którzy tworzą znaczną część rosyjskich sił biorących udział w bitwie o Donbas, mają nazywać dowódców: **generałowie śmierć**

Zbigniew Parafianowicz

Stanowiąca ważny węzeł kolejowy Popasna już w pierwszej wojnie o Donbas w 2014 r. co najmniej kilka razy przechodziła z rąk do rąk. Choć ostrzały rosyjskie i separatystów doprowadziły wtedy do wypłnienia tego 20-tysięcznego miasta, to przed lutową inwazją na Ukrainę działało tu jeszcze kilka sklepów. Po wiosennej ofensywie Rosjan nie ma nic. Jak przekonywał ukraiński gubernator obwodu ługańskiego Serhij Hajdaj – „wszystko zostało zniszczone”, a po ruinach kręca się oddziały Ramzana Kadyrowa. Dla ludzi czeczeńskiego dona zabrakło już nawet pralek, które można by ukraść.

5 czerwca oddziały rosyjsko-separatystyczne przeprowadziły szturm w rejonie położonej niedaleko Popasnej – Mykołajiwki. W walkach zginął gen. Roman Kutuzow pseudonim Mgła, jak w przeboju zespołu Siektor Gaza, który jest wykorzystywany w rosyjskich batalistycznych superprodukcjach. „Prowadził żołnierzy do

ataku, bo jest za mało pułkowników” – napisał na kanale w Telegramie Aleksandr Sładkow, znany korespondent wojenny państwowej telewizji Rossija 1 i były żołnierz. Te informacje potwierdzili również Ukraińcy. To ważne, bo rzadko zdarza się, by obie strony były zgodne co do przebiegu wydarzeń. Niemal równocześnie miał zginąć inny generał – Roman Bierdnikow. Ale co do jego śmierci zgodności nie ma.

Oficjalnie Moskwa przyznaje się do straty czterech generałów podczas inwazji na Ukrainę. Kijów mówi o 12. A zachodnie służby specjalne o siedmiu. Ukraińcy w oczywisty sposób podkręcają dane. Na przykład dziennikarze BBC ustalili, że co najmniej trzech oficerów z listy przygotowanej przez Kijów pojawiło się publicznie po swojej rzekomej śmierci.

Nawet jeśli jednak zginęło tylko czterech, mówimy o liczbie bez precedensu. Dla porównania między 1964 r. a 1975 r., podczas wojny w Wietnamie, zginęło dwóch generałów USA. Śmigłowiec Keitha Lincolna Ware’a został zestrzelony w czasie ofensywy Tét w 1968 r., a rok wcześniej Alfred Judson Force Moody zmarł na zawał serca w An Khê tydzień po przybyciu do Wietnamu. Podczas trwającej dwie dekady wojny z terroryzmem w Iraku i Afganistanie zginął jeden amerykański wojskowy tej rangi – Harolda Greene’a zastrzelił żołnierz armii afgańskiej, który okazał się sympatykiem talibów. Również podczas II wojny światowej zginął tylko jeden generał USA – Simona Bolivara Bucknera zabito podczas ostatnich dni bitwy o Okinawę.

Od wojny secesyjnej, czyli od 1861 r., na wojnach zginęło pięciu amerykańskich generałów. O jednego więcej niż rosyjskich wojskowych tej szarży przez niecałe cztery miesiące inwazji na Ukrainę.

Polowanie HUR-em

Z jednej strony Kijów koloryzuje dane, z drugiej – w wojsku ukraińskim działa grupa odpowiedzialna za polowanie na najwyższych rangą oficerów. Wywiad wojskowy HUR zbiera o nich dane, a wyroki wykonują albo strzelcy wyborowi, albo artyleria, która uderza w miejsca, gdzie wojskowi akurat przebywają. Pisał o tym m.in. „The Wall Street Journal”, powołując się na źródła w administracji prezydenta Wołodomyra Zełenskiego.

Początkowo Kreml próbował ukrywać dane o tych stratach, bo są one objęte tajemnicą państwową. Uroczystości żałobne przebiegały się jednak do mediów. Tak jak w przypadku gen. Władimira Frołowa, którego w kwietniu pochowano w Petersburgu. Nie udało się również ukryć śmierci gen. Jakowa Riezancewa, którego Ukraińcy zabili na lotnisku w słynnej Czornobajiwce pod Chersoniem. Podobnie było z gen. Olegiem Mitiajewem, który zginął od kul żołnierzy pułku Azow w okolicach Mariupola. Nawet rosyjscy propagandyści przyznają, że tych nazwisk jest dużo i że machina wojenna gdzieś zawiodła.

W rozmowach z ukraińskimi oficerami, którzy śledzą nazwiska najwyższych rangą oficerów zabitych na Ukrainie, jak mantra powtarza się teza, że ich obec-

Rozsmarowywa

ność blisko frontu jest niezaprzeczalnym dowodem niskiego morale sił, które biorą udział w inwazji. Potwierdzało się to również w rozmowach z szeregowymi żołnierzami. – Jak można mówić o ich morale, skoro oni nie przewidują nawet odbioru ciał swoich zabitych żołnierzy. Po walce leżą na poboczu czy w rowach. Później staramy się je zebrać w jedno miejsce. Część trafia do kostnic. Co do zasady jednak nie pamiętam, aby rosyjscy dowódcy interesowali się nimi – opowiadał w rozmowie z DGP Mykoła, którego blokpost znajdował się na obrzeżach wsi położonej na północ od Charkowa. – Mówimy na nich „mięso”. Są jak puszką z tuszonką. Przechodzą generał, otwiera tuszonkę i rozsmarowuje ją. Takie to wojsko – dodaje.

Najgorszej jakości tuszonką są powołani pod broń mieszkańcy Donieckiej oraz Ługańskiej republik ludowych. Złe wyposażeni, bez przeszkolenia, słabo opłacani i zdemoralizowani idą na pierwszy ogień – i szybko giną. Na prorosyjskich kanałach w Telegramie ich parapaństwa przechrzczono na ŻNR – Żeńskie Republiki Ludowe. Ze względu na zachwianie struktury demograficznej, ogromną liczbę powołań do wojska i nieproporcjonalnie dużą liczbę ofiar. Oddziałami ŻNR miał dowodzić zabity pod Mykołajiwką Kutuzow vel Mgła.

Desperat

Rosyjskie portale z Kraju Zabajkalskiego, w którym stacjonowała przed wojną jego jednostka, piszą o nim jako półbo-

gu prowadzącym ludzi w bój. Miał sam latać śmigłowcami szturmowymi oraz nie stronić od udziału w bezpośrednich walkach. Jako naczelnik sztabu 29. Armii Ogólnowojskowej z Czyty był dowódcą „darzonym autorytetem”. Ten absolwent riazzańskiej akademii wojskowej, która kształci oficerów wojsk powietrznodesantowych, ma na koncie najwyższe odznaczenia rosyjskie: medal „Za męstwo” i „Za zasługi wojenne” – a to oznacza, że przed Ukrainą brał udział w ekspedycjach Władimira Putina poza granicami Federacji. Dowodził m.in. w Syrii, w której poznawał tajniki pacyfikowania miast.

Na Kutuzowa na kilka dni przed śmiercią miała być wywierana ogromna presja, by poczynił postępy w zdobywaniu drogi Lisiczańsk-Bachmut, którą można dostać się do Siewierodoniecka. Po niepowodzeniach tuszonki najgorszej jakości, czyli 1. Korpusu Armii Donieckiej Republiki Ludowej, którą dowodził – zadanie miały wykonać dwie rosyjskie brygady zmotoryzowane. Ich żołnierze odmawiali jednak walk, co zmusiło generała do osobistego pokierowania natarciem.

Rozmówcy DGP przekonują, że to absolutna desperacja. W zasadzie żołnierz tak wysokiej szarży nie powinien się pojawić na linii frontu. Jest zbyt wartościową figurą, aby znaleźć się pod ostrzałem. Rosyjska propaganda przeformatowała jednak ten podręcznikowy błąd. „Mgła” jest teraz jak Karol Świerczewski. Do końca przy swoich żołnierzach, a nie jak natowskie wycieruchy w sztabie czy na lotniskowcu daleko od linii frontu.

Najlepsi z Syrii

– W tej wojnie są problemy z niezależnym myśleniem i podejmowaniem decyzji. Generałowie są blisko linii frontu, aby była pewność, że rozkazy z Moskwy są wykonywane – przekonuje w mediach społecznościowych wbrew oficjalnej linii analityk wojskowy Paweł Łużyn. Kutuzow nadawał się do tego doskonale. Jak pisze w Telegramie rosyjski dziennikarz Siemion Piegow, w Syrii uchodził za „jednego z najbardziej autorytarnych i efektywnych” dowódców. Na Bliskim Wschodzie wysyłano go w miejsca, gdzie dochodziło do najcięższych walk, a rosyjscy komentatorzy zajmujący się wojskowością oceniają „Mglę” jako jednego z najbardziej kompetentnych żołnierzy.

Czego właściwie nauczył się Kutuzow w Syrii? Siły, którymi dowodził – tak jak na Ukrainie – oblegały i bombardowały miasta, a później próbowały je dorzynać i zdobywać. Rosjanie przekonywali wówczas, że uderzenia z powietrza były prowadzone za pomocą broni precyzyjnej. To kłamstwo – ich lotnictwo po prostu równało miasta z ziemią. W Syrii podczas służby „Mgły” do oficjalnej propagandy wprowadzono również dwie nieśmiertelne tezy: że przeciwnik (w tym wypadku zawsze „terroryści”) wykorzystuje cywili jako żywe tarcze i że używa broni masowego rażenia. Na Ukrainie to samo: „neonaziści” z pułku Azow w Mariupolu mieli zasłaniać się cywilami, a „faszystowska junta” w Kijowie pracuje nad brudną bombą, którą odpali i przerzuci winę na Kreml, aby zyskać sympatię Zachodu. Kutuzow w Syrii uczył się również współpracy z formacjami, któ-

re nie wchodziły w skład armii rosyjskiej – szyickim Hezbollahem, milicjami proasadowskimi, armią reżimu Baszszara al-Asada oraz irańskimi Strażnikami Rewolucji. Generał mógł też – podobnie jak na Ukrainie – liczyć na wsparcie prywatnych firm wojskowych, m.in. Grupy Wagnera.

Kutuzow w Syrii praktykował również coś, co Rosjanie określają mianem wojny sekwencyjnej, czyli – jak tłumaczyła w Deutsche Welle Hanna Notte z wiedeńskiego ośrodka analitycznego VCDNP – nieoczekiwanego przerywania walk w jednej części frontu, by podjąć je w drugiej. W przypadku Ukrainy Rosjanie wycofali się spod Kijowa i Charkowa, by skoncentrować się na Donbasie i południu kraju. Podobnie było w Syrii w 2017 r., kiedy to na zachodzie kraju utworzono tzw. strefy deeskalacyjne. To pojęcie, na które trzeba uważać, bo może się niebawem pojawić również w propozycjach rosyjskich dla Kijowa. W przypadku tego terminu nie chodzi o wypracowanie trwałego pokoju, tylko kupienie czasu na przegrupowanie i odnowienie sił. W 2017 r. kłamstwo deeskalacyjne pozwoliło Asadowi na przygotowanie uderzenia i zajęcie wschodu kraju, a w 2018 r. dyktator i Rosjanie poszli o krok dalej i wrócili zbrojnie do stref deeskalacyjnych. W rękach opozycji i islamistów – z woli Kremla – pozostawiono jedynie ofortyfikowane miasto Idlib, które pełni rolę zamrożonego konfliktu do szantażowania syryjskiego dyktatora możliwością podwyższenia temperatury wojny. Idlib jest jak Naddniestrze, które blokuje Mołdawię, albo Abchazja czy Osetia Południowa, które ograniczają suwerenność Gruzji. To po prostu inny wymiar i inna specyfika zamrożonego konfliktu.

Podobne doświadczenia w Syrii zdobywał gen. Roman Bierdnikow. Ukraińcy przekonują, że zabili go w zasadce razem z „Mglą”. Rosjanie temu zaprzeczają. Dopóki nie będzie zdjęć ciała (jak w przypadku Kutuzowa), trzeba do informacji Kijowa podchodzić z rezerwą. Tym bardziej że jeszcze miesiąc temu oficer był dowódcą rosyjskiej grupy bojowej w Syrii. Są nagrania, na których widać jak 9 maja bierze udział w paradzie wojskowej w bazie lotniczej w Humajjim w Latakii. – Żołnierze i oficerowie rosyjscy pełnią szczytną służbę w Syrii, broniąc interesów Rosji w walce z międzynarodowym terroryzmem – mówił wówczas Bierdnikow, który reprezentuje ten sam typ dowódcy, co Kutuzow.

Depopulacja i kłamstwa

W dowódczej układance na Ukrainie to jednak nie Kutuzow ani nie Bierdnikow byli/są najważniejsi. Osobą numer jeden od początku kwietnia jest/był gen. Aleksandr Dwornikow, nazywany Rzeźnikiem z Syrii. To nie tylko zwolennik zrównywania z ziemią miast, lecz także mistrz kłamstwa i propagandy. W 2015 r. dowodził bombardowaniem Aleppo. Próbował wówczas przekonywać świat, że uderzenia na miasto są prowadzone za pomocą sterowanej amunicji. W rzeczywistości bił na oślep. Wykorzystywał bomby kasetowe, które mają duże pole rażenia, wysysające tlen pociski termobaryczne i palący wszystko biały fosfor. To, czego się nauczył w Syrii, przeniósł na Ukrainę. Tuż po awansie Dwornikowa na dowódcę operacji przeciw Ukrainie były szef CIA oraz były głównodowodzący wojskami USA w Iraku i Afganistanie gen. David Petraeus komentował: – Rosjanie byli znani w Syrii z, cytując, depopulacji terenu. Tak robili w Aleppo. Tego możemy oczekiwać (na Ukrainie – red.).

Obecnie Dwornikow ma być pod wielką presją Kremla. Od jego awansu i postawienia zadania zdobycia Donbasu mijają dokładnie dwa miesiące. Ofensywa miała być ekspresowa i szybko dać zwycięstwo. Jak przekonuje gubernator obwodu ługańskiego Serhij Hajdaj, w piątek mija dla Dwornikowa termin zdobycia Siewierodoniecka. Zrównane z ziemią miasto nadal się jednak broni. A sam generał nie pojawia się w relacjach ze wschodu Ukrainy.

Na początku czerwca media amerykańskie podały, że został zawieszony. Zniknął po sowiecku. Po cichu i bez tłumaczenia. Otworzył tuszonkę i rozsmarował mięso, po czym ustąpił miejsca kolejnym gwiazdom korpusu oficerskiego z Syrii. Nie ma co jednak liczyć, że ci zmieniają styl. Po doświadczeniach z Aleppo i Groznego robią to, co potrafią najlepiej. Równają wszystko z ziemią i kłamia. ©



Kreml kupował
nie Czeczenie,
lecz Kadyrowa i jego ludzi.
Nie sądzę, żeby **Moskwa**
była na tyle naiwna,
by oczekiwać,
iż Czeczeni ją pokochali
– i właśnie po to jej Kadyrow

Z **Dienisem Sokołowem**
rozmawia Michał Potocki

Wojna w Ukrainie obaliła kilka mitów – obok wielkich, jak o potęgę rosyjskiego oręża, też kilka mniejszych. Choćby o kadyrowcach, siłach podległych przywódcy Czeczenii Ramzanowi Kadyrowowi, których wszyscy się bali, a którzy stali się internetowym pośmiewiskiem. Przekonanie, że to doskonali żołnierze, było zbudowane na niezrozumieniu, czym te jednostki w istocie są. Z formalnego punktu widzenia to formacje policyjne, pilnujące porządku w Czeczenii. Są wśród nich oddziały specjalnego przeznaczenia szkolone do rozpędzania demonstracji, są także takie, które trenowano do operacji dywersyjnych. Tego typu siły nie mają czego szukać na froncie, bo



DIENIS SOKOŁOW

rosyjski antropolog społeczny, znawca Kaukazu Północnego, ekspert Fundacji WOT

Ukraińcy mówią, że funkcjonariuszy Rosgwardii wyposażono właśnie w sprzęt do rozpędzania manifestacji, więc najwyraźniej po trzydniowej „operacji specjalnej” i rozgromieniu wojsk ukraińskich mieli się zająć pacyfikacją ewentualnych wystąpień ulicznych.

Kadyrowcy byli też obecni w Mariupolu, choć nie wiadomo do końca, co tam

dza zacznie się walić, natychmiast zmienia stronę. Jak w Afganistanie: dopóki byli tam Amerykanie, mieli dużo więcej zwolenników niż na drugi dzień po wycofaniu się z Kabulu. W Czeczenii sytuacja jest podobna, tylko bardziej jaskrawa.

Czyli gdyby Kadyrowowi coś się stało, powróciłbyby nastroje z lat 90.?

Do pewnego stopnia tak, bo one nigdy nie uległy zatarciu. Zresztą Kadyrow ich specjalnie nie zmieniał, więc jak były antyrosyjskie i antyimperialne, tak pozostały. W skład ideologii Kadyrowa nie wchodzi lojalność wobec Moskwy. To imitacja lojalności. Sami Czeczeni jej nie czują – ani ci z diaspory, ani z Groznego. Gdy tylko pojawi się okazja obalenia Kadyrowa – np. przeświadczenie, że Kreml już go nie osłania, porzucił go albo po prostu nie jest w stanie bronić – liczba jego zwolenników będzie określana nawet nie w tysiącach, lecz setkach.

Nadzieje Moskwy, że Czeczenie przez te wszystkie lata ogromnych dotacji z centrali udało się kupić, nie spełniły się?

Kreml kupował nie Czeczenie, lecz Kadyrowa i jego ludzi. Sam naród czeczeński żyje dość biednie. Nie sądzę, żeby Moskwa była na tyle naiwna, by oczekiwać, iż Czeczeni ją teraz pokochali – i właśnie po to jej Kadyrow. Zresztą w Czeczenii jest kilka równoległych sporów. Jest konflikt wewnątrz społeczeństwa z kolaborantami. Jest religijny konflikt między zwolennikami sufizmu a radykalnymi salafitami, który zaczął się już w latach 90. Jest rywalizacja między różnymi grupami politycznymi. Czeczenia nie jest monolitem. Jedyną sprawą, w której panuje jedność, jest dążenie do niepodległości. Pod tym względem Czeczenia jest rekordzistką wśród rosyjskich regionów. Demonstrowała to w latach 90. i 2000., demonstruje to 300-tys. diaspora w Europie, kilkudziesięciotysięczna w Turcji. Oni pozostają wirtualnymi uczestnikami podziemnia, które w Rosji określa się mianem džihadystów, co pozwala na legalizację represji wymierzonych w rosyjskich muzułmanów. Zachód zaakceptował je bez większych wahań. Co więcej, ekstradował na żądanie Rosji rzeszę ludzi ściganych pod fikcyjnymi zarzutami. Wystarczyło, że przyczepiono do nich usprawiedliwiającą wszystko etykietę „dżihadysta”.

Zwłaszcza po zamachach z 11 września 2001 r.

Władimir Putin wykorzystał 11 września, żeby przedstawić swoich kaukaskich oponentów jako terrorystów.

Ukraińcy mówią, że jeśli uda im się wziąć do niewoli Czeczena, natychmiast jest on wymieniany niemal na dowolnego ukraińskiego jeńca, którego wskaza. Etnicznych Rosjan nie tak łatwo wymienić. Z czego to wynika? Z chęci stałego kupowania sobie przychylności Kadyrowa?

Raczej z chęci kupowania przez Kadyrowa przychylności Czeczenów. I tu wracamy do pytania o poparcie. Kiedy zgłosił pretensje terytorialne wobec Inguszetii, wsparli go

Strach i nienawiść

Czeczeński żołnierz ze specjalnej jednostki szybkiego reagowania „Achmat” w Mariupolu, 4 kwietnia 2022 r.

jedyne, co potrafią, to rozganiać tłum oraz bić przesłuchiwanym. Ale kadyrowcy nie byli jedynymi, którzy nie poradzili sobie w Ukrainie, bo nie dało rady również wielu zagranicznych ochotników, którzy chcieli walczyć po stronie Kijowa.

Była też historia żołnierzy z Osetii Południowej, którzy krótko po wysłaniu na front stwierdzili, że jednak wracają do kraju.

Sukcesem nie zakończyła się też próba powołania zagranicznego legionu przez Kijów. A wracając do Czeczenów, były jakieś iluzje dotyczące ich wyjątkowych umiejętności wojennych, ale one nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Szkoda czasu, by to komentować.

Więc jakie zadania wypełniają kadyrowcy na wojnie z Ukrainą?

Takie, jakie im postawiło rosyjskie dowództwo. Formalnie są częścią Rosgwardii (Gwardii Narodowej), a więc sił policyjnych. Mogą być np. oddziałami zaporowymi, czyli pilnować, by żołnierze nie dezertowali. Kiedy zaczęła się inwazja, to mieli wejść do Kijowa, ale zostali powstrzymani na jego przedmieściach. Możliwe, że mieli wylapywać ukraińskich przywódców, gdyby stolica padła.

robili, bo nie szturmowali Azowstalu.

Choć Kadyrow regularnie ogłaszał wzięcie Mariupola.

PR Kadyrowa to oddzielna historia. On żyje w swoim świecie, dość brutalnym. Chce się zaprezentować jako twardy gość, bo wie, że ryzyko, które nad nim ciąży, jest coraz większe. Czeczeni go nienawidzą.

Dla nas te wszystkie filmiki Kadyrowa są śmieszne. W oczach mieszkańców Kaukazu wywołują podobne uczucia czy oni traktują je poważniej?

Śmieją się z nich – ostatnio furorę zrobił wspaniały filmik z gotową do boju rodziną Kadyrowa. Czeczeni opowiadają sobie żart: w normalnym oddziale są: snajper, strzelec, artylerzysta, dowódca, w oddziale kadyrowców zaś – snajper, strzelec, artylerzysta, dowódca, dwóch operatorów kamer, montażysta i specjalista od mediów społecznościowych.

Da się w ogóle ocenić poziom poparcia, jakim w Czeczenii cieszy się Kadyrow? Już ogólnorosyjskie sondaże są średnio miarodajne, biorąc pod uwagę stopień represji w tym kraju. A przecież sama Czeczenia jest totalitarna.

Zwykle, gdy mówimy o poparciu, mamy na myśli wyniki wyborów...

Których w Czeczenii w zasadzie nie ma.

Ludzie chodzą głosować, ale bez świadomego wyboru, zgodnie ze wskazówkami z telewizora – na silną władzę. Ale można też mówić o tym, kogo się tam ludzie boją – a w Czeczenii wszyscy boją się Kadyrowa. Jego poplecznicy naprawdę zabijają tych, którzy mu się przeciwstawiają. W tym sensie w Czeczenii można mówić nie tyle o poparciu, co o podporządkowaniu się. Są ludzie, którzy retorycznie popierają Kadyrowa, ale gdy tylko jego wła-



wszyscy Czeczeni, włącznie z żyjącymi w Europie wrogami. W tym sensie Kadyrow okazał się wyrazicielem interesów narodu. To był jego sposób na konsolidację społeczeństwa, ale to nie oznacza, że nie pozostał „krownikiem” (obiektem krwawej zemsty rodowej planowanej przez rody jego ofiar – red.) dla większości. Teraz robi to samo: pokazuje, że ratuje Czeczenów, wykorzystując do tego – jak sądzę – także osobiste zasoby finansowe i układy.

Porozmawiajmy o diasporze.

Wie pan, ilu Czeczenów pojechało walczyć przeciw Rosji?

Takich statystyk nie ma, bo spora część stara się zachować wyjazd w tajemnicy. W wielu państwach, których są obywatelami – o Austrii i Francji mogę powiedzieć na pewno – groziłaby im odpowiedzialność karna za udział w wojnie w Ukrainie. Dlatego starają się nie rzucać w oczy, przyjeżdżają na lewych papierach. Ale już od 2014 r. w Ukrainie działają dwa czeczeńskie bataliony, które po 24 lutego zostały rozbudowane: batalion im. Szejcha Mansura pod dowództwem Muslimy Czebierłojewskiego oraz batalion im. Dżochara Dudajewa dowodzony przez Adama Osmajewa. Dodatkowo działa mużmański batalion Krym, którym dowodzi Isa Akajew. W nim także służy wielu Czeczenów. Do tego dość dużo Czeczenów, którzy przyjechali na wojnę w 2014 r., zalegali-

zowało swój pobyt, po czym wstąpiło do regularnych sił zbrojnych Ukrainy. Niektórzy europejscy Czeczeni z założenia nie chcą walczyć w szeregach czeczeńskich batalionów. Inni jadą specjalnie do nich. Przyczyn można szukać w wewnętrznych podziałach społecznych czy politycznych. Myślę, że dziś można mówić o co najmniej setkach Czeczenów walczących po stronie Ukrainy. Do tego są przedstawiciele innych kaukaskich narodów. Byłoby ich więcej, gdyby ci, którzy przyjechali w 2014 r., nie napotykali później problemów z zalegalizowaniem pobytu. Bo ukraińskie urzędy nie były – ujmijmy to tak – jednorodne pod względem stosunku do Federacji Rosyjskiej, a niekiedy ich funkcjonariusze działali w interesach Moskwy przeciwko konkretnym ludziom. I to do ostatnich miesięcy przed inwazją. Czebierłojewski został w Ukrainie objęty sankcjami na równi z kryminalistami, chociaż zawsze opowiadał się po stronie Kijowa. Takie sytuacje nie motywują do przyjazdu. Jest też obiektywna przeszkoda: rosyjski paszport. Wjazd z takim dokumentem do Ukrainy jest utrudniony. Co do zasady człowiek z Kaukazu, który przychodzi gdzieś w Europie do ukraińskiego attaché wojskowego – a tak najłatwiej cudzoziemcowi trafić do legionu zagranicznego – zwykle jest przepędzany. Można dodać jeszcze ograniczenie religijne. Zdaniem czę-

ści liderów islamskiej opinii ta wojna nie jest dżihadem, a więc udział w niej nie jest dozwolony po żadnej ze stron. Jest i odmienna opinia, wskazująca, że Ukraina broni się przed wspólnym wrogiem, a sama dała schronienie mużmałom – niezależnie od wszystkich problemów. Wielu Czeczenów, w tym uczestników wojny w Syrii, wyemigrowało z Turcji do Ukrainy po 2016 r., gdy Ankara zaczęła masowo ich zatrzymywać i zaczęły zdarzać się przypadki deportacji do Rosji.

Ośrodek Russian Field, wprowadzie niespecjalnie renowany, zbadał poparcie Rosjan dla wojny w podziale na wyznanie. Wśród mużmałomów jest ono dużo niższe niż wśród prawosławnych.

To oczywiste. Wprowadzie niektórzy hierarchowie, zwłaszcza mufti Czeczenii Sałach Mieżyjew i Dagestanu Achmied Abdułajew, ogłosili wojnę z Ukrainą dżihadem, lecz większość mużmałomów tego nie uznaje. Za to szejchowie cieszący się największym autorytetem uważają, że walka po stronie Rosji jest niedopuszczalna. Po wsiach szepcze się, że nie powinno się grzebać poległych w Ukrainie, bo zginęli, walcząc na niewłaściwej wojnie.

Na ile opinia, że Ukraina walczy przeciw wspólnemu wrogowi, jest rozpowszechniona wśród narodów Kaukazu Północnego?



Szejchowie cieszący się największym autorytetem uważają, że walka po stronie Rosji jest niedopuszczalna. Po wsiach szepcze się, że nie powinno się grzebać poległych w Ukrainie, bo zginęli, walcząc na niewłaściwej wojnie

Czeczeni ją dzielą, w końcu jest w tym spora doza prawdy. Czeczeńska diaspora – choćby ta skupiona wokół Achmieda Zakajewa (były premier separatystycznego rządu Czeczenii – red.) – próbowała nawet przekonać Kijów, by symbolicznie uznał niepodległość Iczerii (tak nazywało się państwo budowane przez Czeczenów po upadku ZSRR – red.). Ale dla Ukrainy to trudny temat, chyba nieopłacalny. Ale z jednego powodu powinno jej zależeć na budowie pro-

czeczeńskiego wizerunku: żeby coś zadziało się na samym Kaukazie Północnym. To trudne zadanie, bo nie cały Kaukaz jest gotowy traktować tę wojnę jako antykolonialną. Kwestię terytorialną rozumie się tam bardzo dobrze. W tym sensie poprzedzająca inwazję retoryka Putina, że wszystkie bzdury, że Ukraina to sztuczny twór, że to są rosyjskie ziemie, wielu trafiła do przekonania. To standardowa kaukaska mowa: kto gdzie żył tysiąc lat temu, jakim językiem są tam nazwane góry i rzeki oraz które w jakim roku przebiegały granice. Słowa Putina, które dla nas w XXI w. brzmią nienormalnie, na Kaukazie są zrozumiałe.

Jeśli spojrzeć na statystykę zidentyfikowanych poległych, na pierwszym miejscu wśród rosyjskich regionów jest Dagestan. Proporcjonalnie wysoko jest też Osetia Północna. Bieda pcha tych ludzi na wojnę?

Nie. Kontrakt z wojskiem jest najskuteczniejszą drogą awansu społecznego. W Dagestanie dla młodych chłopaków najlepszym szlakiem ku sławie są zapasy. Jednak mistrzami zostają nieliczni, sport zaś uprawiają tysiące. Większość stara się więc dostać do armii. W Dagestanie zdarzają się łapówki, by tylko zostać żołnierzem kontraktowym. Jak już odслужиłeś swoje, to możesz iść do Federalnej Służby Bezpieczeństwa, poli-

cji albo resortu sytuacji nadzwyczajnych. Daje to poczucie władzy, legalizujesz posiadaną broń, a przede wszystkim otwierasz sobie drzwi. Bez znajomości w strukturach siłowych nie da się na Kaukazie prowadzić biznesu. Jeśli jesteś siłowikiem, to i w biznesie nie będziesz miał problemów.

Znajoma dziennikarka zajmująca się tematyką kaukaską opowiadała, że podczas tej cichej mobilizacji, którą Rosjanie obecnie prowadzą na Kaukazie, często wabią młodych, wykorzystując miejscowe wzorce męskości. Skoro jesteś facetem, to jedź na wojnę i pokaż, co potrafisz.

Tak, także dlatego oni rzadziej dezerterują. Ale główną motywacją są pieniądze i możliwość ustawienia sobie ścieżki kariery po służbie. Na Kaukazie popularne jest coś, co w dawnej Rosji określało się terminem „otchodnicestwo”. Regularne wyprawy do pracy sezonowej poza rodzinną miejscowość. Ludzie jeżdżą pracować na budowie czy rynku, stomatolodzy podróżują po syberyjskich wsiach. Bywa, że ludźmi całymi wsiami jeżdżą dorobić na północy Rosji. W tym sensie służba w armii to także rodzaj „otchodnicestwa”. Trzeba sobie dorobić. Wojna jest tam czymś zrozumiałym, kultura wojny jest głęboko osadzona. To społeczeństwo jest pod tym względem dość archaiczne.



REKLAMA

GUNS N' ROSES

PLUS SPECIAL GUESTS

GARY CLARK JR.

DIRTY HONEY

20 CZERWCA 2022
PGE NARODOWY • WARSZAWA
BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL



WP STRÖER

CGM

RMF

GUNSNROSES.COM

LIVE NATION

Jak margines przest

Emilia Świętochowska

Scenariusz, jaki rozgrywa się w Stanach Zjednoczonych po każdej masowej strzelaninie, jest do bólu przewidywalny: po rytuałach „rozmyślaniach i modlitwach”, gdy przez moment wydaje się, że zwolennicy ograniczeń w zakupie broni mają po swojej stronie serca większości opinii publicznej, przychodzi narodowe ocknięcie, którego cierpliwie wyczekiwali przeciwnicy restrykcji, nie pozwalając na żaden krok w tył. I wszystko zostaje po staremu.

Tak jak wielokrotnie w przeszłości, tak i teraz po tragedii w podstawówce w teksańskim miasteczku Uvalde, gdzie 18-latek zabił karabinem szturmowym AR-15 19 dzieci i 2 nauczycieli, pojawiają się głosy, że „tym razem będzie inaczej”. Od końca maja grupa demokratów i republikanów w Senacie próbuje wykuć ponadpartyjny kompromis dotyczący zaostreżenia dostępu do broni. Jest niemal pewne, że nawet jeśli porozumienie dojdzie do skutku, to będzie bardzo zachowawcze. Nie ma mowy np. o zakazie sprzedaży broni półautomatycznej, którą zwykle posługują się sprawcy masowych strzelanin (m.in. tego domaga się prezydent Joe Biden).

Strategia republikanów jest taka sama od 20 lat: przekonywać, że jest wiele problemów, ale nie należy do nich to, że 18-latek może legalnie i bez zbędnych formalności kupić karabin szturmowy, który pozwala oddać 45 strzałów w ciągu minuty. Oto cztery najpowszechniejsze twierdzenia przeciwników ograniczeń, które rozmiągają się z faktami.

Sprawcy to osoby chore psychicznie, których nie powstrzymają żadne restrykcje w dostępie do broni

– Każdy, kto strzela do innej osoby, ma problem psychiczny – stwierdził gubernator Teksasu Greg Abbott po masakrze w Uvalde. „Winny jest szaleniec, a nie broń” – to wytarty argument, po który odruchowo sięgają politycy republikańscy i aktywiści na rzecz drugiej poprawki, gdy kolejna tragedia z udziałem AR-15 szokuje Amerykę. Używał go prezydent Donald Trump w reakcji na masacre w liceum w Parkland na Florydzie w 2018 r. (zabitych 14 uczniów i 3 pracowników). Rok później chorobami psychicznymi tłumaczył dwie masowe strzelaniny, do których doszło w odstępie zaledwie 13 godzin – w Walmarcie w teksańskim El Paso (20 zabitych) i w Dayton w stanie Ohio (9 ofiar śmiertelnych, w tym brat zamachowca). – Prawda jest taka, że w naszym społeczeństwie jest pełno prawdziwych potworów. Ludzi tak złych, obłąkanych, opętanych przez głosy i demony, że nikt zdrowy nie jest zdolny ogarnąć tego umysłem – mówił Wayne LaPierre, potężny lobbysta i prezes stowarzyszenia National Rifle Association (NRA) po najtragiczniejszej w historii USA szkolnej masakrze w podstawówce Sandy Hook w Newton w grudniu 2012 r. (zabitych 20 dzieci i 6 dorosłych). Trzeba leczyć szaleńców i zamykać ich w placówkach – dowodził LaPierre – a nie utrudniać praworządnym Amerykom samoobronę.

Rzecz w tym, że większość badań nad związkiem między chorobami psychicznymi a masowymi strzelaninami nie pozwala wysnuć definitywnych wniosków – choćby z powodu braku pełnych danych (zwykle jedynym ich źródłem są policja i media). Niemniej istniejące analizy wskazują, że ten związek jest słabszy i bardziej zniuansowany, niż to sugerują konserwatyści. Tak wynika z najbardziej jak dotąd kompleksowego badania przeprowadzonego przez psychiatrów klinicznych z Columbia University. Naukowcy stworzyli bazę informacji na temat przeszło 14,7 tys. zabójstw popełnionych na świecie w latach 1900–2019 (1,3 tys. zaliczono do masowych). Według ich analizy tylko u 8 proc. sprawców strzelanin stwierdzono choroby psychiczne lub spełniali oni ich kryteria diagnostyczne.

FBI przyglądało się z kolei zachowaniom zamachowców, zanim pociągnęli za spust. Ich raport stwierdza, że jedna czwarta miała zdiagnozowaną chorobę psychiczną, a 62 proc. zdradzało w życiu codziennym objawy depresji, zaburzeń lękowych czy paranoi. Psychiatrzy zastrzegają jednak, że wyciąganie z policyjnych czy medialnych relacji wniosku o czy-

Prawo do broni – świętość dla dużej części Amerykanów – nie zawsze oznaczało jej dostępność dla każdego obywatela. Dziś masowe zabójstwa wywołują tylko chwilowy alert

Uvalde w Teksasie. Ludzie przychodzą na miejsce strzelaniny, 25 maja 2022 r.

jejs paranoi to wątpliwa i zawodna praktyka. Zwłaszcza w sprawie, na której ciąży społeczne oczekiwanie, że sprawca „musi być kimś nie-normalnym”. W przypadku braku diagnozy lekarskiej ocena opiera się głównie na późniejszych informacjach od rodziny czy znajomych. A to stwarza ryzyko racjonalizacji post factum.

Eksperti są zgodni co do jednego: o ile ryzyko dokonania brutalnego aktu przemocy przez osoby chore psychicznie jest średnio trzy razy wyższe niż przez zdrowe, o tyle zdecydowana większość z nich nie jest agresywna i nigdy nie będzie. Z badań prof. Jeffreya Swansona z Duke University, czołowego badacza tego zagadnienia, wynika, że poważna choroba psychiczna (schizofrenia, zaburzenia afektywne dwubiegunowe lub ciężka depresja) bezpośrednio odpowiada za ok. 4 proc. popełnianych zbrodni – i najczęściej nie są to strzelaniny.

Co też ważne, zaburzenia psychiczne mogą być źródłem przemocy lub istotnie się do niej przyczyniać, ale są tylko jednym z wielu czynników ryzyka. 20-letni Adam Lanza, sprawca masakry w podstawówce Sandy Hook, miał zdiagnozowaną depresję, stany lękowe, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne i zespół Aspergera (będący zaburzeniem rozwoju). Jak jednak stwierdziło w swoim raporcie stanowe biuro rzecznika ds. dzieci, „żaden z tych problemów psychicznych ani nie spowodował aktów zbrodni, ani do nich nie doprowadził”. Eksperti ustalili, że nie było jakiegoś momentu krytycznego, który popchnął Lanę do zbrodni. Prowadziła do niej kaskada rozmaitych czynników i zdarzeń, a przyczyną wielu był sam sprawca: brak pracy, nieporozumienia z jedynym przyjacielem, brak osobistych kontaktów z rodziną, izolacja, nasilające się lęki i depresja. „Adam coraz mocniej żył w alternatywnym świecie, w którym jego głównym zajęciem była kontemplacja masowego morderstwa” – napisano w analizie.

Portret ten z grubsza pasowałby do sprawców co najmniej kilku innych masowych strzelanin w USA z ostatniej dekady: mężczyzn

w wieku 18–24 lat, którzy brutalnie zderzają się z wymogami dorosłości i nowymi społecznymi oczekiwaniami, przestając być nastolatkami. Obraz wyłaniający się z policyjnych raportów, wywiadów i opinii medycznych wskazuje na rozdźwięk między tym, jak ich życie wygląda naprawdę, a fantazją, jak powinno wyglądać. Głębokie wyobcowanie, niska samoocena, poczucie niedopasowania i doświadczenia cyberprzemocy kolidują tam z pragnieniem uznania, a nawet urojeniami o władzy i wielkości. „Ci młodzi mężczyźni, którzy czują się jak nieudacznicy, mają przemożny pęd, by pokazać komuś, że nie są na dnie” – powiedział „New York Timesowi” prof. Frank T. McAndrew, psycholog z Knox College zajmujący się masowymi strzelaninami. Prawie w każdym przypadku ważną rolę w procesie radykalizacji, który poprzedził eksplozję przemocy, odegrały też media społecznościowe.

Chociaż wielu sprawców wykazuje objawy zaburzeń psychicznych i emocjonalnych, to same w sobie nie rodzą one skłonności do przemocy. W jednym z badań psychiatrzy stwierdzili wręcz, że ocena kliniczna jest w takich przypadkach niewiele bardziej trafna niż rzut monetą. Do czynników, które pozwalają najlepiej przewidzieć, że ktoś naciśnie na spust, należą natomiast wcześniejsza historia przemocy (np. domowej) i problemy z alkoholem lub narkotykami. Kolejne to: młody wiek, płęć męska, traumatyczne przeżycia z dzieciństwa.

Opieka psychiatryczna i psychologiczna w Stanach Zjednoczonych jest niezwykle kosztowna, a dostęp do niej w wielu miejscach ograniczony. Nie ma wątpliwości, że wymaga potężnego dofinansowania i reformy. Ale nawet idealny system nie rozwiąże problemów z bronią. „Poprawa opieki psychiatrycznej nie położy kresu masowym strzelaninom ani nie zredukuje ich znacząco. Powinniśmy ulepszyć system, aby pomóc ludziom wyzdrowieć” – powiedział ABC News Greg Hansch, szef teksańskiego oddziału organizacji National Alliance on Mental Illness.



Chciał być marginesem

Nie dochodziłoby do strzelanin w szkołach, gdyby pilnowali ich policjanci

– Złego człowieka z bronią może powstrzymać tylko dobry człowiek z bronią – te słynne już słowa Wayne’a LaPierre’a padły po raz pierwszy tydzień po masakrze w podstawówce Sandy Hook w grudniu 2012 r. W buńczucznym przemówieniu lobbysta zrzucił winę za tragedię na brutalne gry komputerowe i zapaść psychiatrii, a jako rozwiązanie zaproponował... wysłanie uzbrojonych policjantów do wszystkich szkół w USA. Ówczesny prezydent Barack Obama i jego ekipa usiłowali przekonać Kongres do zakazu sprzedaży karabinów półautomatycznych, a w tym samym czasie NRA obiecywało, że wyposaży i przeszkoli każdego aktywnego czy emerytowanego funkcjonariusza, ochroniarza, a nawet nauczyciela, który chce być gotowy na konfrontację z zamachowcem.

Z postulatów strzeleckiego lobby kpili wtedy nawet niektórzy konserwatyści, uważając je za przejaw zaślepienia i ekstremizmu. Jednak narodowy wstrząs wywołany zabójstwem 20 sześciu- i siedmiolatków z Newton po paru miesiącach przeminął, a wraz z nim osłabła presja opinii publicznej, by Kongres „w końcu coś zrobił”. Kiedy demokraci przegrywali kolejną batalię o zaostrzenie zasad sprzedaży broni, NRA pozyskiwało już kolejnych sojuszników w komisariatach, władzach hrabstw, kuratoriach i radach rodziców. A wkrótce ruszyło z rekrutacją wolontariuszy do swojego programu pancерnej oświaty. Dziś apele o oddelegowanie policjantów do podstawówek i liceów są standardową mantrą republikańskich polityków.

Według danych National Center for Education Statistics w 2018 r. w prawie sześciu na dziesięć placówek co najmniej raz w tygodniu zjawiał się specjalny funkcjonariusz przeskolony do pracy z młodzieżą (School Resource Officer – SRO), którego zadaniem było monitorowanie zagrożeń, reagowanie na incydenty, a w razie potrzeby arestowanie delikwentów. Co więcej, od czasu Sandy Hook szkoły – zarówno

molochoy, jak i placówki butikowe – muszą m.in. posiadać procedury postępowania na wypadek strzelaniny, regularnie przeprowadzać symulacje zagrożeń z udziałem uczniów i identyfikować tych agresywnych. Placówki zainwestowały też miliony dolarów w wykrywacze metali, monitoring, kuloodporne drzwi. Firma konsultingowa Omdia szacuje, że ochrona kampusów to obecnie biznes wart 2,8 mld dol.

Czy zatem uzbrojony policjant i kamery odstraszą potencjalnych szkolnych zamachowców? Zdaniem ekspertów nie. Do takiego wniosku doszedł m.in. prof. Eric Madfis, socjolog przestępczości z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, który przeprowadził setki wywiadów z funkcjonariuszami, dyrektorami i nauczycielami 11 szkół, którym udało się zapobiec strzelaninie. W książce „How to Stop School Rampage Killing” Madfis konstatuje, że podejście oparte na surowej dyscyplinie i wzmocnionych środkach bezpieczeństwa nie odegrało w powstrzymaniu ataku żadnej roli. Uczniowie planujący masakrę traktowali monitoring czy ochroniarzy jak „drobne przeszkody w swoich drobiazgowych scenariuszach, łatwe do obejścia przy pewnych dodatkowych przygotowaniach”. Niektóre udaremnione plany zakładały nawet zabicie policjanta i szczegółowo opisywały okoliczności, w których miało to nastąpić. Znacznie prewencyjne miała natomiast panująca w szkole kultura – czy uczniowie czuli, że mogą powiedzieć pedagogowi o niepokojącym zachowaniu kolegi.

W 2018 r., kilka miesięcy po masakrze w liceum w Parkland, dziennikarze „Washington Post” przekopali też medialne archiwa z 19 lat w poszukiwaniu policjantów, którzy zastrzelili lub unieszkodliwili zamachowca w trakcie strzelaniny. Znaleźli dwóch. Znacznie częściej zbrodnicze plany krzyżowała niedziałająca broń lub jej nieudolna obsługa.

Nikłą prewencyjną rolę SRO potwierdzają również analizy zbrodni, które doszły do skutku. W jednym z badań eksperci zdrowia publicznego rozłożyli na czynniki pierwsze

179 przypadków szkolnych strzelanin z lat 1999–2018. Wniosek? Obecność uzbrojonego funkcjonariusza nie sprawiła, że liczba ofiar śmiertelnych była mniejsza.

Gdy w liceum w Parkland zabójca otworzył ogień, jego SRO był akurat poza budynkiem. I zamiast pobiec do środka i spróbować unieszkodliwić zamachowca, schował się za sąsiednim obiektem. Po ponadrocznym śledztwie prokuratura postawiła mu zarzuty zaniedbania obowiązków i krzywoprzysięstwa (proces rozpoczął się w kwietniu).

Policja zawiadła też w Uvalde. Wedle jej relacji żaden ze szkolnych SRO (a było ich łącznie sześciu) nie przebywał na terenie kampusu, gdy sprawca zjawił się tam z dwoma AR-15. Pierwszy policjant przyjechał na miejsce ok. 2 min później. Jednak minęło 75 min od momentu, gdy przerażony uczeń zadzwonił na numer 911, do wkroczenia specjalnej jednostki do klasy, w której zabarykadował się zamachowiec, i zabicia go. Funkcjonariusze mieli przećwiczone procedury postępowania (priorytetem jest szybkie powstrzymanie napastnika, nawet za cenę nieudzielenia pomocy rannym), a mimo to popełniono podstawowe błędy taktyczne, które najprawdopodobniej kosztowały życie wielu osób.

Pochłanianie coraz większych partii budżetu szkół przez policję i branżę ochrony ma też dotkliwe skutki uboczne – np. taki, że dyrektorzy placówek muszą rezygnować z innych sposobów wsparcia dzieci i młodzieży, szczególnie zadbania o ich dobrostan psychiczny. Organizacja American Civil Liberties oszacowała, że 14 mln dzieci w całej Ameryce chodzi do szkół, które mają swojego SRO, nie zatrudniając za to pielęgniarki, pedagoga, psychologa ani pracownika socjalnego.

Nie ma sensu wprowadzać ograniczeń w dostępie do broni, bo zamachowcy i tak znajdą sposoby, żeby je ominąć

Na potwierdzenie tezy, że restrykcje nie przeciwdziałają strzelaninom, entuzjaści drugiej poprawki lubią podawać przykład Kalifornii, gdzie obowiązują jedne z najsurowszych przepisów o dostępie do broni w całych Stanach. W 2016 r., rok po masakrze w San Bernardino, legislatorzy zakazali tam sprzedaży magazynków o wielkiej pojemności (powyżej 10 naboje) i karabinów szturmowych (jak AR-15). Wprowadzono też prawo, które pozwala skonfiskować broń osobom, których zachowanie sygnalizuje, że stanowią zagrożenie dla siebie lub innych (do sądu może wystąpić o to np. rodzina, pracodawca czy nauczyciel).

Nowe przepisy faktycznie nie zapobiegły kolejnym tragediom – tylko od początku roku zginęło w nich 159 osób. Jeśli jednak zestawimy liczbę zgonów w wyniku wystrzału z populacją Kalifornii (prawie 40 mln), to okaże się, że współczynnik śmiertelności do początku pandemii spadał i w 2019 r. wyniósł średnio 7 ofiar broni na 100 tys. mieszkańców. W czasie COVID-19 statystyki samobójstw i zabójstw poszybowały w górę w całej Ameryce. Obecnie współczynnik śmierci w wyniku strzału sięga w Kalifornii około 8,5. W stanach ze szczytu rankingów miejsc najbardziej przyjaznych posiadaczom broni (Wyoming, Montana, Arizona, Alaska, Idaho) jest on dwa–cztery razy wyższy.

Że restrykcje w dostępie do broni działają, pokazują też przykłady innych państw. Po masowej strzelaninie w Port Arthur na Tasmanii w 1996 r. (zginęło 35 osób) konserwatywny rząd Johna Howarda preforasował zakaz sprzedaży broni półautomatycznej i niektórych typów strzelb. Uruchomiono też narodowy program ich wykupu po cenie rynkowej. W efekcie w ciągu roku 650 tys. sztuk trafiło z prywatnych rąk do państwowych magazynów. Choć szacuje się, że 27-milionowe społeczeństwo Australii wciąż trzyma w domu ok. 3,5 mln sztuk broni, od tragedii w Port Arthur skala przemocy z jej użyciem drastycznie jednak zmalała. Liczba zabójstw spadła mniej więcej o połowę. O ile w dekadzie przed zmianą prawa w kraju zanotowano 13 masowych strzelanin, o tyle w minionym ćwierćwieczu – jedną.

W 1996 r. również brytyjski rząd ograniczył dostęp obywateli do broni. Była to odpowiedź na masakrę w podstawówce w szkockim Dunblane, gdzie 43-letni mężczyzna zabił 16 dzieci i nauczycielkę. Mimo że już wtedy Wielka Brytania miała nieporównywalnie bardziej

restrykcyjne przepisy niż USA, konserwatyści pod przywództwem Johna Majora dodatkowo zabronili sprzedaży prawie wszystkich rodzajów broni krótkiej, a ich następcy z Tonym Blairem na czele domknęli pozostałe luki. Od tamtej pory w kraju nie dochodzi do masowych zabójstw.

Ograniczenia dotyczące posiadania broni są sprzeczne z konstytucją i tożsamością Ameryki

Choć dziś wielu republikańskich polityków i ich wyborców potraktowałoby zakaz sprzedaży karabinów szturmowych jako niewybaczalny zamach rządu na przyrodzone prawo Amerykanów do wolności, dla konserwatystów sprzed paru dekad ten dogmatyzm byłby niezrozumiały. Przynajmniej od początku XIX w. stany wprowadzały ograniczenia dotyczące broni i amunicji – zakazy noszenia ukrytych pistoletów w miejscach publicznych, wnoszenia ich do szkół i kościołów czy sprzedaży „osobom niebezpiecznym” oraz... Indianom. Nikt wówczas nie myślał o drugiej poprawce jako o przeszkodzie. Jej interpretacja nigdy nie była bowiem sztywno ustalonym kanonem niewrażliwym na spory polityczne i przemiany społeczne, lecz ewoluowała na przestrzeni lat. Wykładnia dominująca przez ok. 200 lat historii USA nie miała też wiele wspólnego z tą, którą obecnie przyjmuje się jako naturalne status quo. Z grubsza zakładała ona, że prawo do noszenia broni przysługuje obywatelom będącym członkami stanowych milicji, za której spadkobierczynię można uznać dzisiejszą Gwardię Narodową (rozumienie to potwierdził w 1939 r. Sąd Najwyższy).

W burzliwej dekadzie lat 60. konsensus zaczął się załamywać. Narastająca fala przestępczości skłaniała coraz więcej Amerykanów do zakupu pistoletu. Po serii zamachów na prominentnych liderów (John F. Kennedy, Robert Kennedy, Martin Luther King Jr.) Kongres uchwalił ustawę m.in. zakazującą sprzedaży broni osobom chorym psychicznie i z wyrokiem skazującym. Celem byli tu przede wszystkim „czarni radykałowie”. Tkwiło w tym założenie, że broń to atrybut praworządnych (białych) obywateli, którzy potrzebują jej, by chronić siebie i swoją rodzinę.

Czołową rolę odegrało w tym procesie NRA, które przeszło wtedy gwałtowną transformację od stowarzyszenia strzeleckiego do politycznego lobby. W latach 70. organizacja rozpoczęła – w świadomości społecznej, elitach politycznych, a w końcu w sądach – mozolne wysiłki, aby zaszczyć ideę, że druga poprawka przyznaje Amerykanom indywidualne prawo do samoobrony. Gdy Ronald Reagan wprowadził się do Białego Domu, Partia Republikańska i NRA żyły już w symbiozie. Kolejne stany rozpychały zaś granice swobody do noszenia broni (połowa dopuszcza dziś np. noszenie jej ukrytej pod ubraniem). Więcej czasu zabierała zmiana interpretacji w sądach – ostatecznie przypieczętował ją w 2008 r. wyrok SN (sprawa District of Columbia vs Heller).

Broń coraz bardziej stawała się też fetyszem obrośniętym agresywną, ostentacyjną kulturą. O ile kubki i koszulki z hasłem „pro-life, pro-God, and pro-gun” już nikogo nie szokują, o tyle trudno powiedzieć to samo, gdy kongresmeni wrzuca na Twittera świąteczne zdjęcie, na którym każdy członek jego siedmioosobowej rodziny z dumnym uśmiechem eksponuje egzemplarz AR-15 na tle choinki (chodzi o deputowanego z Kentucky Thomasa Massiego). Albo gdy czołowa firma z branży obronnej wykorzystuje w reklamie zdjęcie kilkulatek z karabinem.

To przydawanie broni atrybutów świętości odrzuca dziś nawet zagorzałych zwolenników drugiej poprawki. Jeden z nich, znany konserwatywny publicysta David French, zauważył niedawno, że widok kobiet i mężczyzn uzbrojonych po zęby, demonstracyjnie noszących broń np. w czasie protestów, stał się czymś zwyczajnym. Jego zdaniem to akty prowokacji, które mają sprawić, by ludzie poczuili się niekomfortowo i niepewnie. „Ta kultura zżera się od środka. Wciąż są miliony odpowiedzialnych posiadaczy broni, którzy bardziej skupiają się na swoich obowiązkach niż prawach, ale bałwochwalczy margines przestał być marginesem” – napisał w portalu „The Dispatch”.



foto: Yasin Ozurk/Anadolu Agency/Albaca/PA P

Witold Sokała

O 55. premierze rządu Wielkiej Brytanii można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest postacią nudną i szablonową. Bynajmniej nie tylko z powodu charakterystycznej, zwalistej sylwetki i malowniczo rozczochranej fryzury.

Konserwatysta nieuczesany

Alexander Boris de Pfeffel Johnson (bo tak brzmi jego prawdziwe pełne nazwisko) – zwany w skrócie BoJo – urodził się w Nowym Jorku jako syn wyższego urzędnika Banku Światowego i malarki, a stara, arystokratyczna krew brytyjska miesza się w jego żyłach z francuską, żydowską i czerkieską. Otrzymał staranne wykształcenie w Eton i Oksfordzie, a podczas studiów należał do sławetnego Klubu Bullingdona (podobnie jak jeden z jego poprzedników na stanowisku premiera David Cameron, a także Radosław Sikorski). Jego tradycją było m.in. organizowanie hucznych biesiad. Przy okazji często demolowano restauracje (i niezwłocznie „honorowo” płacono gospodarzom za wyrządzone szkody całkiem pokaźne sumy, często gotówką). Inną tradycyjną rozrywką był tzw. debagging, czyli ściąganie spodni każdemu, kto czymś imprezowiczów uraził. „Noc w areszcie uchodziła za zachowanie godne bullingdończyków” – skonstatował potem biograf Johnsona Andrew Gimson.

Po studiach BoJo pracował dla konserwatywnych mediów: tygodnika „Spectator” i dziennika „Daily Telegraph”. Szybko poszedł jednak w ślady ojca (który m.in. posłował z ramienia torysów do Parlamentu Europejskiego) i kilku innych przodków: zamiast opisywać politykę, postanowił ją tworzyć. W 2001 r. po raz pierwszy zasiadł w Izbie Gmin, w jednym z konserwatywnych gabinetów cieni odpowiadał za sprawy szkolnictwa wyższego, a powszechną rozpoznawalność zdobył w roku 2008, gdy po błyskotliwej kampanii odebrał labourzystom urząd burmistrza Londynu. W tej nowej roli zasłynął m.in. jako współtwórca nowego, wyluzowanego i nowoczesnego oblicza swej partii – zaangażował się np. w rozbudowę sieci ścieżek rowerowych, program rowerów miejskich i inwestycje proekologiczne. Gdy powrócił po kilku latach do parlamentu, dał się natomiast poznać jako zdecydowany zwolennik brexitu. I nie wahał się w imię tej idei stosować propagandowych ciosów poniżej pasa. Miał zresztą... elastyczny stosunek do prawdy, aż musiał się ze swych szarż tłumaczyć przed sądem. Zapracował sobie jednak na prestiżowe stanowisko ministra spraw zagranicznych w pierwszym gabinecie Theresy May (notabene dopiero wtedy, po paru miesiącach urzędowania w Foreign Office, rzekł się nabytego przy urodzeniu obywatelstwa amerykańskiego).

Gdy w grudniu 2018 r. pani May musiała się zmierzyć z buntem w szeregach swej partii, Johnson nie był już członkiem jej gabinetu. Premier wygrała wówczas głosowanie we frakcji parlamentarnej (z pozornie bezpieczną przewagą 200 głosów przeciwko 117), co teoretycznie zapewniało jej kolejny rok stabilnego przywództwa, ale jak wiadomo, już po paru miesiącach partia i tak zmusiła ją do rezygnacji. Johnson wystąpił wtedy w wyborach na nowego lidera torysów i wygrał je z dużą przewagą. Dzień później został oficjalnie szefem rządu... i zaczęły się problemy, bo jak się okazało, nie wszyscy w partii byli gotowi zaakceptować jego styl i przywództwo.

Na fali kryzysów

Na dzień dobry BoJo poprosił królową o prawo prorogacji, czyli zawieszenia działań parlamentu, co powszechnie uznano za sygnał, że nowy rząd dąży do „twardego” brexitu – bez porozumienia z Unią Europejską. Wybuchł bunt, wielu znanych i wpływowych torysów otwarcie wystąpiło przeciwko premierowi. To spowodowało, że ten – jako pierwszy w historii brytyjskiego parlamentaryzmu – przegrał w Izbie Gmin głosowania nad swymi trzema pierwszymi wnioskami. Zawieszenie prac izby nastąpiło wkrótce potem mimo pozwów sądowych i petycji z milionami podpisów. Po bezprecedensowym zamieszaniu, w akompaniamencie okrzyków o skandalu Johnson w końcu postawił jednak na swoim – usunął z partii przywódców wewnętrznej opozycji (w tym byłego kanclerza skarbu Philipa Hammonda czy wnuka Winstona Churchilla i eksadiutanta księcia Walii Nicholas

Człowiek, który równie dobrze może za chwilę odejść z wielkiej polityki w niesławie, co okazać się odnowicielem światowej roli Zjednoczonego Królestwa.

**Boris Johnson
tanio skóry
nie sprzedaje**



**Boris Johnson,
premier
Wielkiej Brytanii**

Soamesa), doprowadził do przedterminowych wyborów, a potem zapewnił w nich błyskotliwe zwycięstwo konserwatystom (i przy okazji zwolennikom szybkiego brexitu).

Zdobyta w grudniu 2019 r. przewaga 80 głosów w Izbie Gmin była największą, jaką torysi dysponowali od ponad 30 lat. Teoretycznie dawało to Johnsonowi komfort rządzenia, ale w rzeczywistości nie było tak dobrze. Kontrowersje wokół sposobu rozstania z UE i skutków tego rozvodu wciąż dają o sobie znać, swoje dołożyła pandemia – w efekcie BoJo i jego gabinet wciąż surfuja na falach kolejnych kryzysów, przykrywając nowymi kłopotami poprzednie, doraźnie gasząc pożary, z rosnącą trwogą spoglądając na słupki sondaży i wyniki wyborów uzupełniających (w kilku tradycyjnie torysowskich okręgach partia wzięła ostatnio tęgie lanie).

W tej sytuacji wewnętrzna opozycja czekała tylko na pretekst do ataku. Dostarczyło go grono najbliższych współpracowników premiera, organizując huczne imprezy z udziałem szefa w budynkach rządowych podczas ostrego lockdownu, a także podczas uroczystości pogrzebowych księcia Edynburga. Premier pogorszył sprawę, długo klucząc i kłamiąc, a gdy wreszcie w obliczu powszechnego potępienia (i policyjnych mandatów) zdecydował się nieco pokajać, przeciwnicy ruszyli do frontalnego ataku. W poniedziałkowym głosowaniu wnioski o wewnątrzpartyjne wotum nieufności co prawda przepadł

BoJo na wirażu

(211 głosami do 148) i teoretycznie BoJo ma w tej sprawie spokój na kolejne 12 miesięcy, ale losy Theresy May zapewne dają mu do myślenia.

Tym bardziej że nieobyczajne zachowania i jego samego, i jego ekipy to niejeden – ani pewnie nie najważniejszy – problem. Zarówno Brytyjska Izba Handlowa, jak i Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju – niezależnie od siebie, acz niemal równocześnie – obniżyły niedawno prognozy wzrostu ekonomicznego Wielkiej Brytanii, mówiąc wprost o ryzyku stagnacji. OECD uznała zresztą brytyjską gospodarkę za najsłabszą wśród członków G20 (oprócz rosyjskiej). Inflacja zbliża się do 10 proc., a bank centralny od grudnia 2021 r. podnosił stopy cztery razy. Związek Zawodowy Pracowników Kolei, Transportu Morskiego i Transportu zapowiedział gigantyczne strajki na 21, 23 i 25 czerwca z powodu cięć finansowych w branży, a ostrzegawczy strajk w londyńskim metrze w miniony poniedziałek już spowodował poważne zakłócenia. William Hague, który kierował Partią Konserwatywną w latach 1997–2001, powiedział dziennikarzom, że premierostwo Johnsona nie jest już „opłacalne ani dla torysów, ani dla kraju”, i zasugerował, że BoJo powinien zbierać się do odejścia z polityki, by dać wszystkim szansę „na nowy początek”. „Kontynuacja rządów Johnsona będzie jak jazda autostradą z dwiema przebitymi oponami” – dodał.

Pierwszy sprawdzian już niebawem – 23 czerwca odbędą się przedterminowe wybory uzupełniające w dwóch zdominowanych dotąd przez Partię Konserwatywną okręgach. A opozycja będzie tymczasem starannie grillować premiera, drążąc temat jego kłamstw w sprawie „partygate”.

Ucieczka do przodu

Johnson oczywiście nie poddaje się bez walki. Ofensywę zapowiedział zresztą

jeszcze przed głosowaniem nad wotum zaufania, a powtórzył to zaraz po swoim, zdaniem wielu komentatorów, pyrrusowym zwycięstwie. We wtorek zarys reform został przedstawiony gabinetowi, a w czwartek premier publicznie obiecał to, na co czeka wielu wyborców. Ułatwienia dla młodych ludzi w kupowaniu domów mogą być strzałem w dziesiątkę w obliczu coraz poważniejszej flauty na brytyjskim rynku nieruchomości. Ożywienie słabnącej gospodarki i „fiskalna siła ognia” (cokolwiek ten zwrot premiera ma znaczyć w praktyce) to z kolei odpowiedź na obawy o rosnące koszty utrzymania gospodarstw domowych.

– W ciągu najbliższych kilku tygodni rząd opracuje reformy, które pomogą ludziom obniżyć koszty w każdym obszarze wydatków gospodarstw domowych, od żywności przez energię, opiekę nad dziećmi po transport i mieszkania – powiedział Johnson podczas wizyty w hrabstwie Lancashire. – Dzięki temu (...) zwiększymy produktywność, a przede wszystkim tempo wzrostu Wielkiej Brytanii – dodał. Szczegółowy plan ma zostać podany już w przyszłym tygodniu.

Opozycja z góry uznała to za zasłonę dymną, ale nawet jeśli ma rację, to znając talenty marketingowe Johnsona, trzeba zakładać, że zasłona może się okazać całkiem skuteczną.

Shansą dla premiera może się okazać też polityka zagraniczna. Ogromną przysługę wyświadczył mu ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski, który podczas eventu on-line zorganizowanego przez redakcję „Financial Times” z zadowoleniem skomentował wygraną BoJo w sprawie wotum zaufania i nazwał go „kluczowym sojusznikiem”. Rzeczywiście kierowany przez Johnsona rząd już w styczniu dostarczył Ukrainie broń przeciwpancerną, a od początku rosyjskiej agresji zapewnił jej większą pomoc gospodarczą i wojskową niż cała Unia Europejska. Wielka Brytania jest też bardzo aktywna i pomysłowa w nakładaniu kolejnych sankcji na moskiewski reżim i jego przedstawicieli – polityka przymykania oczu na wrogie działania kremlowskich agentów wpływu i na szarogęszenie się nad Tamizą rosyjskich oligarchów skończyła się chyba bezpowrotnie.

Już wcześniej Johnson punktował jako skuteczny sojusznik USA na Indo-Pacyfiku nie tylko poprzez aktywność w ramach grupy Quad i nowego sojuszu znanego jako AUKUS, lecz także zbliżając Wielką Brytanię do członkostwa w Partnerstwie Transpacyficznym (co powinno bardzo pozytywnie przełożyć się na eksportowe interesy kraju) oraz zacieśniając relacje strategiczne z Indiami. Teraz podbija stawkę. Uzgadnia szczególne partnerstwo z Hiszpanią. Ma im pomóc lobbować w NATO na rzecz zabezpieczenia południowej flanki Paktu przed wyzwaniem rodzącym się w północnej Afryce. Z Ukrainą (a prawdopodobnie też z Polską, Litwą, Łotwą i Estonią) rozmawia o nowej formule integracyjnej, wykraczającej poza sprawy czysto militarne i wywiadowcze. To pierwsze działanie może w bliskiej perspektywie poprawić pozycję Brytyjczyków w Ameryce Łacińskiej – z przełożeniem na interesy handlowe i inwestycyjne. To drugie – uczynić z nich samodzielnego gracza na newralgicznym styku politycznego Zachodu i Wschodu. A obydwie – stanowić element dywersji przeciwko Unii Europejskiej dający Londynowi dźwignię w trudnych rozmowach o pobrexitowych zaległościach, takich jak regulacje dotyczące rybołówstwa czy status granicy w Irlandii.

Międzynarodowa gra Johnsona ma jednak jeszcze wyższą stawkę. Tak naprawdę jest nią stopniowe zacieśnianie relacji państw Commonwealthu, spadkobierców dawnego Imperium Brytyjskiego, i uczynienie z tej koalicji samodzielnego gracza na skalę globalną. Sojusznika Stanów Zjednoczonych, ale mającego realny status partnerski. I oczywiście pod przewodnictwem Londynu.

Czy Johnson zdoła wygrać wyścig z czasem? Przeciwko niemu działa wiele czynników, z drugiej strony jednak nie byłby to pierwszy w historii przypadek, gdy zreczny manipulator zdołał przykryć swoje słabości i błędy oraz kłopoty kraju ambitnym planem wstawania z kolan. ©

Autor jest wykładowcą Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, ekspertem Fundacji Po.Int oraz Nowej Konfederacji

Trzecia tura, pierwsza tura

Nowy parlament może mocno skomplikować życie prezydentowi Francji. Szanse na bezwzględną większość dla jego znów przemianowanej partii maleją



fot. Christophe Petit - Tesson/EPA/PAF

Katarzyna Stańko, korespondencja z Paryża

Na dwa dni przed wyborami parlamentarnymi – określanymi jako trzecia tura wyborów prezydenckich – wśród macronistów narastają obawy, że koalicja prezydencka Razem nie zdobędzie bezwzględnej większości w parlamencie. Emmanuel Macron liczy na pełnię władzy. Po zdobyciu w kwietniu drugiej kadencji prezydenckiej powołał spolegliwy rząd technokratki Elisabeth Borne. Brakuje tylko właśnie uzyskania bezwzględnego poparcia parlamentu. Najważniejszym jego rywalem jest lew lewicy, czyli Jean-Luc Mélenchon, któremu udało się zjednoczyć pod skrzydłami swojej Francji Nieujarzmionej ugrupowania lewicowe i ekologiczne, socjalistów i komunistów pod wspólnym sztandarem wyborczym Nowej Unii Ludowej Ekologicznej i Społecznej (Nupes). Ta zaś ma nadzieję na zmuszenie Macrona do kohabitacji.

Już po kwietniowych wyborach prezydenckich, w których Mélenchon uzyskał trzeci najlepszy wynik i ponad 21 proc. głosów, oznajmił on, że zamierza zostać premierem Francji i stworzyć rząd kohabitacyjny, który będzie ograniczał menedżerskie zapędy prezydenta w zarządzaniu Francją. Macron zapowiedział jednak już w maju, że Mélenchon premierem nie zostanie. W zamian za to zaoferował Francuzom pierwszą od 30 lat kobietę na tym stanowisku. Do tego wywodzącą się z lewicy.

Teraz prezydent dwoi się i troi w ukłonach w kierunku lewicowego elektoratu, mnożąc programy społeczne dla dzieci i młodzieży oraz narzędzia wsparcia obywateli wobec rosnącej inflacji, a także obiecując w ciągu swojej pięcioletniej kadencji transformację ekologiczną Francji. Aby przypodobać się radykałom, na ministra edukacji wybrał czarnoskórego historyka i działacza Papę Ndiaye znanego ze stwierdzeń, że we Francji istnieje rasizm strukturalny, zwolennika cancel culture w pewnych obszarach.

Kandydaci przemianowanej dopiero co na Renesans prezydenckiej partii La République en Marche (LREM) wykorzystują również strach przed przeprowadzką Mélenchona do Matignon (jak nazywa się siedziba premiera i rządu) i liczą, że większościowa ordynacja wyborcza zadziała na ich korzyść. O ile jednak w kwietniu euforia wśród macronistów była duża i wyobrażano sobie, że wybory parlamentarne to formalność, o tyle teraz wielu zwolenników obozu prezydenta obawia się, że Renesans absolutnej większości mieć nie będzie.

Macroniści w kwietniu i na początku maja brali pod uwagę tak naprawdę tylko dwa scenariusze: wymarzony, w którym LREM miałaby 289 deputowanych, co pozwoliłoby władzy wykonawczej mieć pewność, że wszystkie ustawy zostałyby przegłosowane z zamkniętymi oczami; i „katastrofalny”, w którym ich partia miałaby tylko względną większość, a zatem byłaby zmuszona polegać na koalicji z centrystami i centroprawicą z Ruchu Demokratycznego (MoDem), Agir i Horizons.

Ryzykując konieczność ustępstw wobec partii François Bayrou i byłego premiera Édouarda Philippe'a.

Tuż przed głosowaniem krajobraz wyborczy jednak jeszcze się zmienił. Wraz ze stopniowym spadkiem notowań obozu prezydenckiego w sondażach macroniści poważnie obniżyli swoje ambicje. Minister ds. stosunków z parlamentem Olivier Véran wspominał niedawno, że przyszłe Zgromadzenie Narodowe „nie będzie działać zgodnie z programem, dla którego wybrano prezydenta republiki”. Przewodniczący klubu MoDem Patrick Mignola przyznał, iż „obawia się wypadku wyborczego”, bo gra wygląda na bardziej skomplikowaną niż w 2017 r. Macron zdobył wówczas zdecydowaną większość – 313 LREM, a MoDem 47 deputowanych. Zgromadzenie Narodowe liczy ich 577.

Górá, ale bez szachu

Opublikowany na kilka dni przed wyborami sondaż ośrodka Ifop wskazuje, że do bezwzględnej większości koalicji może zabraknąć kilku mandatów, choć zdobędzie ona około 28 proc. głosów. Nupes może liczyć na 27 proc. (250–290 mandatów). Wcześniejsze sondaże dawały macronistom 275–330 miejsc. Nupes może otrzymać 195–230 miejsc. Skrajnej prawicy Marine Le Pen sondaże dają około 21 proc. głosów, co ma się przełożyć się na 20–40 mandatów. Obecnie Le Pen ma ośmioro deputowanych w parlamencie.

Taki rozkład miejsc potwierdzają pierwsze wyniki wyborów korespondencyjnych wśród Francuzów mieszkających za granicą, ogłoszone w niedzielę 6 czerwca. Macroniści w tej grupie wyborców osiągnęli przewagę, natomiast kandydaci lewicy dostali się do drugiej tury w dziewięciu z 11 okręgów. To dwa razy więcej w porównaniu z 2017 r.

Niepewność wyniku wzmocniona jest według socjologów nastrojami dużej części Francuzów – zmęczonych dwoma latami pandemii COVID-19, przestraszonych wojną w Ukrainie i utyskujących na rosnącą inflację.

Debata wyborcza toczy się we Francji przede wszystkim wokół spadającej siły nabywczej Francuzów i polityki w zakresie bezpieczeństwa, pogarszających się warunków w służbie zdrowia oraz na temat brutalności francuskiej policji, która, zdaniem Mélenchona, „zabija własnych obywateli”. Lider Nupes odwołuje się tu m.in. do zastrzelenia w tym tygodniu pasażerki samochodu, którego kierowca nie zatrzymał się do kontroli policyjnej.

Nowy rząd Borne, a de facto Macrona, funkcjonujący niecały miesiąc ma na już koncie kilka wpadek, m.in. oskarżenia ministra ds. niepełnosprawnych Damiena Abada o gwałt, chaos podczas meczu Real Madryt – Liverpool na podparyskim Stade de France podczas finału Ligi Mistrzów, kiedy to ponad 2,7 tys. angielskich kibiców w ważnych biletach nie zostało wpuszczonych na mecz i potraktowano gazem łzawiącym przez policję. Szef MSW Gérald Darmanin tłumaczył po meczu, że to Anglicy zawinili, a tamtejsze kluby nie powinny wydawać kibicom papierowych biletów. Opinia publiczna uznała to tłumaczenie

Jean-Luc Mélenchon, główna przeszkoda na drodze Macrona do pełni władzy

za pokrętne, a minister został mocno zrugany przez szefa państwa za niewystarczający nadzór nad służbami.

W grze wyborczej macroniści liczą też na drugą turę (19 czerwca). – Tam, gdzie dojdzie do pojedynku ze skrajną prawicą, wyborcy lewicy zgłoszą na nas – uważa otoczenie prezydenta. I widzi w tym zaletę bycia centrum.

Straszenie galijskim Chávezem

W obliczu radykalnie lewicowych i ekologicznych postulatów Nupes macroniści próbują także przejąć elektorat umiarkowany, strasząc go Mélenchonem. Przedstawia się go jako „niebezpiecznego ekstremistę”. – Na lewicy nie ma już socjalistów ani Zielonych, tylko kandydaci mélenchonistów, którzy są za opuszczeniem Europy, NATO, za komunitaryzmem. I mają niejednoznaczne relacje z policją. To są czerwone linie dla naszego elektoratu – powiedział delegat generalny partii Renesans i minister służby publicznej Stanislas Guerini, który startuje z listy w Paryżu. A inny człowiek Macrona, minister gospodarki i finansów Bruno Le Maire, nazywa Mélenchona „galijskim Chávezem”. Jego zwycięstwo miałyby zablokować kraj, uniemożliwiając Macronowi realizację programu, dla którego został ponownie wybrany. Prezydent wciąż nie odpuszcza zmianawidzonej przez Francuzów reformy emerytalnej, likwidowania kastowości i korporacyjności w wielu zawodach czy uelastyczniania rynku pracy.

– Nupes ma program gospodarczej ruiny kraju na ponad 330 mld euro, nie do sfinansowania. Aby zaabsorbować te wydatki, konieczne byłoby ponaddwukrotne podwojenie VAT – straszy z kolei były rzecznik rządu i obecny minister ds. budżetu Gabriel Attal. – W przypadku zwycięstwa Mélenchona wprowadzona zostanie gilotyna podatkowa na wszystkich poziomach – wróży.

Lew lewicy i żelazny wilk

Urodzony w Maroku w rodzinie o korzeniach francusko-hiszpańskich Mélenchon jest z wykształcenia nauczycielem. Swoją drogę polityczną od początku łączył z lewicą, przechodząc w młodości przez fascynację trockizmem, potem socjalizmem, a następnie zbliżył się do Partii Komunistycznej. Według historyka Jeana-Numy Ducange'a stał się dla wielu głównym przedstawicielem „historycznej” lewicy podczas wyborów prezydenckich w 2017 r., zdobywając 20 proc. głosów i deklasując kandydata socjalistów Benoîta Hamona. Sam Mélenchon odrzuca jednak przypisywane mu przez prasę etykiety radykalnej lub skrajnej lewicy. Polityk zapowiada, że chce zerwać wszystkie sojusze (euro, Unia Europejska, NATO, WTO...) i proponuje stworzenie Szóstej Republiki. Regularnie odwołując się do historii ruchu robotniczego, stara się również trwale dystansować od socjalizmu à la ZSRR, oświadczaając, że „rewolucja obywatelska nie jest starą rewolucją socjalistyczną”. Dla niego zapowiedzią „prawdziwej, obywatelskiej rewolucji” był ruch „żółtych kamizelek”. ©



Pierwsze wyniki wyborów korespondencyjnych wśród Francuzów mieszkających za granicą potwierdzają, że macroniści nie mają miażdżącej przewagi



Jarosław Kaczyński
na spotkaniu
z wyborcami
w Sochaczewie.
8 czerwca 2022 r.

for. Leszek Szymański/PAP

Grzegorz Osiecki
Tomasz Żółciak

Politycy przypomnieli sobie o przedcovidowej zasadzie, że prognozą zwycięstwa jest liczba uściśniętych rąk. Donald Tusk jeździ więc po Polsce już od kilku tygodni, a prezes PiS właśnie ruszył. Każdy z nich ma swoje ważne powody. – Kończąc już swoją misję w rządzie, będę się musiał skoncentrować na pracy partyjnej – powiedział Kaczyński w Sochaczewie, gdzie zaczął swój objazd. Ale dopóki nie skończy, co powinno nastąpić do końca czerwca, będzie odwiedzał tylko okolice Warszawy.

O tym, że to już faktyczna kampania, świadczy to, że prezes ma objechać właśnie tworzone nowe partyjne okręgi, których będzie 94. Ma to zmobilizować lokalne struktury i dać miejscowym członkom PiS argumenty z pierwszej ręki do przekonywania mieszkańców. Obowiązuje narracja, że ta władza jest blisko ludzi, a tamci odwrócili się do nich plecami, że rząd reaguje na trudną sytuację, a obecna opozycja tego nie robiła, gdy rządziła et cetera, et cetera.

Z kolei Platforma Obywatelska próbuje odrobić zaległą lekcję z wyborczej strategii. Kilka lat temu PiS zrobił dokładne badania pokazujące, w których okręgach jest szansa na przełamanie hegemonii opozycji. Politycy PO twierdzą teraz, że zrobili to samo i nieprzypadkowo dobierają kierunki podróży Tuska. Eskapady przewodniczącego mają potrwąć przynajmniej do końca czerwca. Celem jest spowodowanie, by notowania Koalicji Obywatelskiej wreszcie ruszyły z miejsca. Bo te mniej więcej od lipca 2021 r. – a więc gdy Tusk przejmował stery w Platformie – oscylują wokół 24–25 proc., a to sugeruje, że taki jest sondażowy sufit tego ugrupowania (o tym, czy ten sufit faktycznie istnieje, czytaj na A18).

Problemem Tuska jest jednak jego polityczny багаż, który pozwala PiS podważać wiarygodność składanych przez niego deklaracji. Tak było z propozycją zwiększenia o 20 proc. płac w budżetówce. PiS od razu przypomniał, że za rządów PO-PSL były zamrożone. Podobnie jest, gdy Tusk mówi o legalizacji dostępu do aborcji do 12. tygodnia, wprowadzeniu związków partnerskich i przeglądzie prawa dotyczącego osób transpłciowych. Oponenti znów przypomi-

nają – a politycy PO sami to przyznają – że Platforma miała na uregulowanie tych kwestii osiem lat. Inna sprawa, że realizacja tych deklaracji będzie trudna lub niemożliwa. Po pierwsze, trzeba by znaleźć dla nich odpowiednią większość, a dziś nie wiadomo, czy ewentualny nowy rząd anty-PiS (złożony z różnych ugrupowań dziś opozycyjnych) znajdzie wystarczającą liczbę szablów w Sejmie. Złazszcza że część tych zmian może wymagać korekt w konstytucji. Po drugie, nawet jeśli opozycja przejmie władzę, do 2025 r. prezydentem będzie Andrzej Duda, który może skutecznie blokować tego typu zmiany.

Kosztowne błędy

Obie strony nie ustrzegają się przy tym błędów, ale w sytuacji, gdy każdy punkt procentowy może zdecydować o zwycięstwie lub porażce, reakcja na te błędy jest błyskawiczna niczym w... kampanii wyborczej.

PiS musiał się w tym tygodniu uporać z pęczniącym kryzysem wizerunkowym wywołanym przez ministra w KPRM Michała Ciesłaka, który po spięciu z pracownicą poczty w Pacanowie (rozmowa dotyczyła sytuacji gospodarczej i inflacji) doniósł na nią jej przełożonym. Wywołało to medialne gromy. Oto bowiem partia, która definiuje samą siebie jako bliską zwykłym ludziom, zaczyna tych ludzi szykanować. Decyzją Jarosława Kaczyńskiego minister szybko pożegnał się z funkcją.

Chwilę wcześniej to Platforma mierzyła się z kryzysem uderzającym w jej tożsamość. Gdy prezydent Warszawy określa się mianem „dupiarza”, wywołuje to niesmak w elektoracie, który zgromadził się wokół opozycji zwłaszcza po wyroku TK z 2020 r. w sprawie aborcji. Początkowo część polityków nie doceniała wagi tematu, uznając, że pewnie i tak nie wyjdzie poza twitterową bańkę. Szybko się jednak okazało, że bańka pękła, a ze słów Trzaskowskiego tłumaczyć się musiał jeżdżący po kraju Donald Tusk. Trzaskowski przeprosił, niesmak pozostał. Nikogo nie zdziwi, jeśli PiS przypomni w którymś momencie tę wpadkę, zwłaszcza że niektórzy politycy PO spozdzielają się, że prawa kobiet mogą być jednym z głównych tematów kampanii. Pokusa może być tym większa, że Jarosław Kaczyński w Sochaczewie stwierdził, że Trza-

skowski jest dzisiaj większym zagrożeniem niż Tusk.

Strategia

Jeśli chodzi o strategiczne kierunki działań, to każda strona może grać na kilku fortepianach. Po pierwsze, mobilizować swoich zwolenników. Im wcześniej zabiorą się do zbierania poparcia na wybory, tym większa szansa, że wierni wyborcy będą namawiać innych. I że się odzyska tych, którzy zwątpili. Jak pokazują sondaże, KO cały czas ma jeszcze średni wynik sondażowy

ki nie PiS już wygrał i także teraz może tu szukać przewag. Jak zwraca uwagę nasz rozmówca z obozu rządowego, badania pokazują, że w tej grupie zwolenników obecnej władzy jest dwa razy więcej niż przeciwników. – To PiS nadal jest beneficjentem wyższej frekwencji – podkreśla. Ale na koniec ważne będzie, którzy niegłosujący pójdą do urn. Bo w tej grupie są też cztery roczniki, czyli sporo ponad 1 mln młodych ludzi, dla których będzie to pierwsza okazja do wrzucenia karty do urny. Akurat w tej grupie

także element kampanijno-wyborczej gry: trzeba udowodnić swoją wartość, by potem – w przypadku konstruowania wspólnej listy – móc domagać się jak najwięcej biorących miejsc dla swoich ludzi. To wpływa także na taktykę Platformy Obywatelskiej, która chce być hegemonem bloku opozycyjnego. Wcześniej jej politycy grali głównie wyliczeniami dowodzącymi, że jedna lista daje im najwięcej mandatów w przyszłym Sejmie, co jest dyskusyjne (choćby z naszych sondaży przeliczonych na mandaty kalkulatorem socjologa polityki Jarosława Flisa wynikało, że lepszy wynik mogą dawać warianty dwulub trzyblokowe). Dziś PO zmienia akcenty i wskazuje, że w przypadku jednej listy to ona poniesie największe straty personalne, bo trzeba będzie ustąpić miejsca partnerom z innych formacji.

Sielanki nie ma także po stronie władzy, gdzie trwa frakcyjny konflikt o to, na co polski rząd zgodził się w ramach kamieni milowych KPO. Część obozu rządzącego jest zaskoczona kształtem tej listy, a np. Marek Suski mówi, że głosował za KPO, a nie aneksem.

Rząd ma zresztą także problem z komunikowaniem treści kamieni milowych. A część z nich jest w dyskusjach niepotrzebnie demonizowana. Przykład? Obcięcie opłatami nowych odcinków dróg, co oburzyło zmotoryzowanych. A przecież to nic innego jak rozszerzanie istniejącego w Polsce systemu poboru opłat za autostrady i drogi ekspresowe, głównie od aut ciężarowych. Mieliśmy ich już wiele, a różnica polega na tym, że tym razem proces ten zostanie sfinansowany pieniędzmi z KPO. Cele określone w niektórych kamieniach mogą być osiągnięte w różny sposób. Na przykład większe obciążenia podatkowe na samochody spalinowe. Rząd przekonuje, że zamiast podwyższać te opłaty, można wprowadzić preferencje czy upusty na auta elektryczne.

Wybory – niezależnie od tego, kiedy się ostatecznie odbędą – to dla opozycji groźba, że jeśli wygra PiS, to będzie dążył do utrwalenia władzy na czwartą kadencję. Dla PiS z kolei to obawa, że opozycja u władzy odwróci zmiany w państwie. A do tego totalna izolacja tego ugrupowania łącznie z ryzykiem, że część jej polityków rywale będą chcieli postawić przed sądem. ©

Poszli!

Wybory parlamentarne najpewniej w październiku 2023 r., ale **kampania właśnie się zaczęła**

poniżej wyborczego z 2019 r. Podobny problem ma Lewica, ale i PiS. Mimo ostatniej zwyczajki nasz sondaż United Surveys pokazuje, że rządzący ugrupowanie ma 37 proc. poparcia. To nadal sporo poniżej wyniku z 2019 r. Do tej pory nie odrobiło strat po tzw. piątce dla zwierząt oraz orzeczeniu TK w sprawie aborcji.

Kolejne źródło głosów to pozyskanie zwolenników innych partii. Tu możliwości są ograniczone. Nie ma raczej mowy o masowym przechodzeniu wyborców PiS do obozu opozycji czy odwrotnie. Jeśli chodzi o anty-PiS, to takie ruchy mogą dotyczyć przepływów między poszczególnymi ugrupowaniami, ale także będą ograniczone. Największy potencjał ma tu cały czas PO, bo głosowała na nią niegdyś spora część wyborców innych partii. Wiele będzie zależało od sytuacji ostatniej prostej, za rok. Dlatego i na lewym, i na prawym skrzydle Platformy będzie iskrzyło. Oznacza to rywalizację i z Lewicą, i z Polską 2050. Z kolei PiS może zapewne pozyskać pewną pulę wyborców Konfederacji. W drugiej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. podzielili się po połowie, więc jeśli Konfederacja będzie silnie osłabiona, to PiS może liczyć na niewielki bonus.

Trzecia metoda: pozyskanie niegłosujących. To dzie-

wyborcy PiS są w mniejszości, tyle że jednocześnie frekwencja jest w niej na ogół niska.

Ostatnia strategia to zniechęcenie wyborców przeciwnika. To m.in. dzięki niej PiS wygrał w 2015 r. Bo zsumowana liczba głosów PO, Nowoczesnej, na którą zagłosowała część wcześniejszych wyborców Platformy, oraz PSL była o ponad 1,3 mln niższa niż cztery lata wcześniej. Tym razem tę strategię może przejąć opozycja. Podbijając tematy inflacji i trudnych warunków życia, będzie się starała odwieść wyborców PiS od pójścia na wybory.

Taka niespójność

Platforma mówi konsekwentnie o jednym wielkim bloku wyborczym, jego potencjalni uczestnicy wcale się do jego tworzenia nie kwapią, ale sami nie potrafia sprecyzować, jaki wariant startu opozycji byłby najlepszy. Dyskusje te utrudnia fakt, że do wyborów zostało półtora roku, o ile Jarosław Kaczyński nie planuje jakiegos zwrotu w tej kwestii. Brakuje więc chwilowo kluczowej motywacji, która zmusiłaby byc moje ugrupowania opozycyjne do konsolidacji. Na razie każdy – od ludowców przez Lewicę aż po ugrupowanie Szymona Hołowni – pręży muskuły i walczy o swoją tożsamość. To

ZAPROSZENIE DO SKŁADANIA ZGŁOSZEŃ W SPRAWIE ZAKUPU WYMAGALNYCH WIERZYTELNOŚCI PRZYSŁUGUJĄCYCH ALIOR BANK S.A. Z SIEDZIBĄ W WARSZAWIE

Alior Bank Spółka Akcyjna, z siedzibą w Warszawie, ul. Łopuszańska 38D, 02-232 Warszawa,
wpisana do Rejestru Przedsiębiorców prowadzonego przez Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy w Warszawie,
XIV Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS: 0000305178, NIP: 1070010731, REGON: 141387142,
o kapitale zakładowym opłaconym w wysokości 1.305.539.910,00 PLN
zaprasza do składania zgłoszeń o zamiarze nabycia wierzytelności (Zgłoszenie) w procedurze przetargowej
dotyczącej sprzedaży wymagalnych wierzytelności przysługujących Alior Bank S.A.

Regulamin sprzedaży wierzytelności dostępny jest pod adresem: <https://www.aliorbank.pl/l/regulamin-sprzedazy-wierzytelnosci>

Zamiarem odrębnych sprzedaży objęte są następujące wierzytelności, ustalone wg wysokości na dzień 23 maja 2022 roku:

1. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 28 listopada 2019r. na kwotę 500.000,00 PLN; w wysokości 649.354,98 PLN w tym kapitał w wysokości 523.293,45 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
2. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 02 lutego 2019r. na kwotę 1.210.000,00 PLN; w wysokości 1.030.738,18 PLN w tym kapitał w wysokości 810.327,74 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
3. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 28 listopada 2019r. na kwotę 2.700.000,00 PLN; w wysokości 3.464.268,46 PLN w tym kapitał w wysokości 2.699.997,97 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
4. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 29 września 2016r. na kwotę 17.720.000,00 PLN; w wysokości 19.411.755,86 PLN w tym kapitał w wysokości 16.943.600,98 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
5. Wierzytelność z tytułu Zamkniętej transakcji IRS w dniu 14 kwietnia 2018 r. zawartej na podstawie Umowy Ramowej z dnia 17 grudnia 2013 r.; w wysokości 683.788,05 PLN, w tym kapitał w wysokości 575.525,04 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
6. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 28 listopada 2019r. na kwotę 500.000,00 PLN; w wysokości 666.401,64 PLN w tym kapitał w wysokości 523.295,33 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
7. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 29 września 2016r. na kwotę 16.770.000,00 PLN; w wysokości 18.296.185,41 PLN w tym kapitał w wysokości 15.901.503,12 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
8. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 15 grudnia 2017r. na kwotę 940.000,00 PLN; w wysokości 947.729,45 PLN w tym kapitał w wysokości 821.000,00 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
9. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 08 lutego 2019r. na kwotę 1.700.000,00 PLN; w wysokości 1.476.253,46 PLN w tym kapitał w wysokości 1.160.661,28 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
10. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 28 listopada 2019r. na kwotę 5.100.000,00 PLN; w wysokości 6.403.896,03 PLN w tym kapitał w wysokości 5.099.999,16 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
11. Wierzytelność z tytułu Zamkniętej transakcji IRS w dniu 14 kwietnia 2018 r. zawartej na podstawie Umowy Ramowej z dnia 17 grudnia 2013 r.; w wysokości 851.726,19 PLN, w tym kapitał w wysokości 730.081,57 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na dwóch obiektach szklarnianych z infrastrukturą o łącznej powierzchni 74 784,60 m² zlokalizowanych w województwie lubelskim, zastawem rejestrowym na przedsiębiorstwie Kredytobiorcy;
12. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 30.08.2012r. w kwocie 8.976.000 PLN; w wysokości 13.505.440,67 PLN, w tym kapitał w wysokości 8.225.837,49 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomościach zabudowanych halami magazynowymi w pobliżu Sochaczewa i autostrady A2;
13. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 20.07.2011r. w kwocie 19.000.000 PLN; w wysokości 31.873.991,15 PLN, w tym kapitał w wysokości 18.684.506,72 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomościach zabudowanych halami magazynowymi w pobliżu Sochaczewa i autostrady A2;
14. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 20.07.2011r. w kwocie 520.000 PLN; w wysokości 137.429,42 PLN; w tym kapitał w wysokości 86.666,6 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomościach zabudowanych halami magazynowymi w pobliżu Sochaczewa i autostrady A2;
15. Wierzytelność z tytułu Umowy faktoringu udzielonego w dniu 21.06.2012r. w kwocie 1.000.000 PLN; w wysokości 36.452,01 PLN, w tym kapitał w wysokości 16.926,86 PLN;
16. Wierzytelność z tytułu Umowy o limit i karty kredytowe w kwocie 20.000 PLN z dnia 23.12.2011; w wysokości 49.171,31 PLN, w tym kapitał w wysokości 19.968,47 PLN;
17. Wierzytelność z tytułu Zamkniętej transakcji IRS zawartej na podstawie Umowy Ramowej z dnia 20.07.2011 r.; w wysokości 2.225.061,76 PLN; w tym kapitał w wysokości 1.097.515,83 PLN;
18. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 28.03.2014r. w kwocie 4.740.000,00 PLN; w wysokości 5.317.300,44 PLN, w tym kapitał w wysokości 3.533.014,45 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomości zlokalizowanej w województwie mazowieckim zabudowanej zakładem przetwórstwa owocowego
19. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 22.12.2015r. w kwocie 9.500.000,00 PLN; w wysokości 12.920.842,78 PLN, w tym kapitał w wysokości 8.928.136,96 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomości zlokalizowanej w województwie mazowieckim zabudowanej zakładem przetwórstwa owocowego, zastawem rejestrowym na środkach trwałych, poręczeniem cywilnym
20. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 16.01.2015r. w kwocie 27.230.000,00 PLN; w wysokości 40.127.172,21 PLN, w tym kapitał w wysokości 24236940,82 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomości zlokalizowanej w województwie mazowieckim zabudowanej zakładem przetwórstwa owocowego, zastawem rejestrowym na środkach trwałych, poręczeniem cywilnym
21. Wierzytelność z tytułu Umowy Kredytu udzielonego w dniu 22.12.2015r. w kwocie 4.000.000,00 PLN; w wysokości 6.799.324,00 PLN, w tym kapitał w wysokości 3.874.515,2 PLN; zabezpieczona m. in. hipoteką na nieruchomości zlokalizowanej w województwie mazowieckim zabudowanej zakładem przetwórstwa owocowego, zastawem rejestrowym na środkach trwałych, poręczeniem cywilnym

Zgłoszenie powinno zawierać:

- 1) nazwę (imię i nazwisko), siedzibę oraz dane adresowe, w tym adres e-mail,
- 2) datę sporządzenia Zgłoszenia,
- 3) dane identyfikujące wierzytelności objęte zamiarem nabycia,
- 4) informację o przewidywanych źródłach finansowania zakupu,
- 5) wyciągi i odpisy dokumentów wskazujących na prawidłowe umocowanie przedstawicieli oferenta oraz status prawny oferenta.

Zgłoszenia, składane przez podmioty zainteresowane zakupem wierzytelności, powinny wpłynąć w terminie do dnia **30 czerwca 2022 roku** w zaklejonych kopertach z dopiskiem „POSTĘPOWANIE PRZETARGOWE – NIE OTWIERAĆ” na adres:

Alior Bank Spółka Akcyjna
Dział Restrukturyzacji i Windykacji Dużych Firm
ul. Łopuszańska 38D; 02-232 Warszawa

Nie później niż w ciągu 3 dni roboczych, od upływu terminu na dokonanie Zgłoszeń, komisja przetargowa dokona otwarcia zgłoszeń. O dalszych etapach postępowania, w tym o terminie do składania ofert wybrane podmioty będą informowane drogą mailową.

Szczegółowe informacje oraz dokumenty dotyczące sprzedawanych wierzytelności udostępniane będą zainteresowanym podmiotom, po złożeniu zapytania drogą elektroniczną na adres e-mail: outsourcing.KB@alior.pl i dostarczeniu pisemnego oświadczenia o zachowaniu poufności na wórze przekazany przez Bank.

Bank zawiadomi wszystkich oferentów za pośrednictwem poczty elektronicznej o wyborze oferty jednego z oferentów bądź o zakończeniu postępowania bez wyłonienia nabywcy.

Alior Bank S.A. zastrzega sobie prawo do unieważnienia postępowania przetargowego na każdym jego etapie, bez podawania przyczyny, odstąpienie od sprzedaży, unieważnienie procesu sprzedaży, oraz uznanie, że proces nie dał rezultatu.

Putin a „sufit Tuska”

Mimo że to tekst o Polsce, a nie Rosji, to od Rosji zaczęę. Na marginesie międzynarodowego seminarium rozmawiałem niedawno z młodą Rosjanką. Kilka lat temu wyemigrowała do kraju Unii Europejskiej, gdzie pracuje dla amerykańskiego think tanku. To istotne o tyle, że nie pasuje do kategorii łatwowiernych odbiorców putinowskiej propagandy: ma swobodny dostęp do niezależnych zachodnich mediów, a instytucje, w których jest zatrudniona, aktywnie wspierają Ukrainę.

Kiedy jednak wymienialiśmy uwagi o wojnie, powiedziała, że bardzo chciałaby, żeby Putin utrzymał się przy władzy. Dlaczego? „Bo w przeciwnym razie kraj się rozpadnie, wybuchnie wojna domowa i sytuacja jeszcze się pogorszy”. Bała się o rodzinę, która została w Rosji. Po chwili dodała jednak, że sama już nie wie, czy to, co powiedziała, to jej własne poglądy, czy strach wpojony jej przez państwowe media. Straszanie chaosem na wypadek jakichkolwiek reform, a tym bardziej zmiany na szczytach władzy, to przecież stałe narzędzie w repertuarze rosyjskich propagandystów.

W dyktaturach, w których władza dysponuje monopolem informacyjnym, siła oddziaływania odgórnego przekazu jest tak wielka, że łatwo potrafi zamazać granicę pomiędzy tym, co obywatel myśli, a tym, co władza chciałaby, żeby myślał. Dopóki człowiek wie, że jakiś pogląd podziela cynicznie – dla własnych korzyści lub ze strachu – może go względnie łatwo porzucić. Kiedy jednak narzucone z zewnątrz przekonanie zinternalizuje, czyli przyjmie za własne, sam staje się narzędziem propagandy.

Prawdy objawione

A piszę o tym, bo zjawisko nie ogranicza się przecież do reżimów autorytarnych. Chociaż tam przybiera najbardziej widoczne i przerażające formy, to widać je także w demokracjach. I u nas nie brakuje poglądów przyjmowanych z góry. Część z nich to proste przekazy partyjne, które okazały się na tyle skuteczne, że zostały uznane za prawdy niewymagające uzasadnienia.

Tak jest np. z opiniami, że program 500+ zredukował ubóstwo lub przyniósł korzyści demograficzne. W tej pierwszej kwestii dane są co najmniej niejednoznaczne. Wskaźnik ubóstwa skrajnego w Polsce spadał już między 2014 a 2015 r., czyli zanim wprowadzono 500+. Następnie w 2018 r. poszedł w górę, by znowu spaść w 2019. W 2020 r., kiedy świadczenie obejmowało już wszystkich Polaków poniżej 18. roku życia, wskaźnik ubóstwa skrajnego wzrósł do poziomu 5,2 proc., czyli powyżej wartości z 2016 r., kiedy pieniądze przelewano tylko rodzinom z co najmniej dwójką dzieci. Nawet jeśli program pomógł wielu potrzebującym – co wydaje się oczywiste – to jego efekty okazały się krótkotrwałe. Nie wiemy też, czy podobnych rezultatów nie dałoby się osiągnąć mniejszym nakładem.

To samo można powiedzieć o efektach demograficznych. Od szczytu w 2017 r. współczynnik dzietności nieustannie spada, a w 2021 r. osiągnął poziom 1,32, czyli niższy niż w 2016 r., kiedy program wprowadzono. Rozszerzenie wypłat na pierwsze dziecko nie zmieniło tego trendu. Pojawiają się głosy, że gdyby nie 500+, to wyniki byłyby jeszcze gorsze. Tego twierdzenia nie sposób jednak zweryfikować, bo nie przeprowadzono badań pilotażowych pozwalających porównać wskaźnik dzietności w społecznościach objętych i nieobjętych świadczeniem. Warto o tym pamiętać, zamiast powtarzać dominujące przekonania.

Wyżej nie podskoczą

Inną opinią, która w ostatnim czasie w dyskusjach politycznych zdaje się osiągać status prawdy niewymagającej uzasadnienia, jest teza o tzw. suficie Platformy, czyli maksymalnym poziomie poparcia, na jakie może liczyć Platforma Obywatelska – czy szerzej Koalicja Obywatelska – pod przewodnictwem Donalda Tuska. Twierdzenie to pada regularnie w popularnych podkastach politycznych, wypowiedziach komentatorów czołowych dzienników i portali, a także w prorządowych mediach. Problem polega na tym, że nie bardzo wiadomo, na jakiej podstawie je sformułowano.

Weźmy niedawny tekst prof. Marka Migalskiego, który ukazał się w „Rzeczpospolitej”. Politolog pisze o tym, jak rzekomo potężny jest elektorat negatywny lidera PO. A na poparcie swojej tezy przywołuje badanie pokazujące, że „większym niż on [Tusk] zaufaniem społecznym cieszy się... Jarosław Kaczyński!”. Zajrzałem do tego sondażu. Różnica pomiędzy obu politykami wyniosła 0,5 pkt proc. (33,8 proc.

NIEKTÓRE
PRZEKAZY PARTYJNE
OKAZUJĄ SIĘ
NA TYLE SKUTECZNE,
ŻE TRAKTUJE SIĘ
JE JAK PRAWDY
NIEWYMAGAJĄCE
UZASADNIENIA

ŁUKASZ
PAWŁOWSKI

publicysta



wobec 33,3 proc.), a zatem w granicach błędu statystycznego. Najwyraźniej to Migalskiemu nie przeszkadza.

W tym samym badaniu 56,4 proc. respondentów stwierdziło, że Kaczyńskiemu nie ufa. W przypadku Tuska było to 54,2 proc. Znów, to różnica niewielka, mieszcząca się w granicach błędu pomiaru. Jedyny wniosek płynący z tych wyników jest taki, że obaj politycy nie różnią się pod względem tego, jaki odsetek Polaków im ufa, a jaki nie.

Ale nawet gdyby jeden z nich miał wyraźną przewagę, warto pamiętać, że wskaźnik zaufania nie determinuje poparcia w wyborach. Tadeusz Mazowiecki czy Jacek Kuroń cieszyli się niemalym zaufaniem, ale władzy dzięki temu nie zdobywali.

Innym wyznacznikiem rzekomego sufitu Tuska był sondaż przeprowadzony w październiku 2021 r. przez IBRiS dla Onetu, w którym zapytano ankietowanych nie o to, na którą partię zgłoszą, lecz na którą ewentualnie mogliby zgłoszować. Szanse na to określali w kilkustopniowej skali. W ten sposób badanie miało określić limity poparcia dla poszczególnych partii.

Na pierwszym miejscu z łącznym poparciem (wyborcy „potencjalni” plus „neutralni”) na poziomie 43,6 proc. znalazło się Prawo i Sprawiedliwość. Na drugim – 41, 5 proc. – Polska 2050 Szymona Hołowni, a dopiero na trzecim – 34,6 proc. – Koalicja Obywatelska. W omówieniu wyników przeczytałem wniosek, że na zbliżenie wyniku do PiS i osiągnięcie pułapu poparcia gwarantującego samodzielne rządy większe szanse od Koalicji Obywatelskiej ma Polska 2050. Komentator Klubu Jagiellońskiego Sebastian Przybył, powielając tezę o „szklanym suficie” nad Tuskiem, stwierdzał, że „największym zagrożeniem dla formacji Kaczyńskiego nie jest dziś wcale Koalicja Obywatelska”, ale właśnie partia Hołowni. W tym czasie średnie poparcie dla KO – mierzone tradycyjnymi sondażami – wynosiło 26 proc., a dla Polski 2050 – 13 proc. Dziś to – według zbiorczych analiz portalu Politico.eu – odpowiednio 28 i 11 proc.

Sondaż Onetu faktycznie był intrygujący, ale przecież nie trzeba być wielkim znawcą polityki, aby wiedzieć, że o wyniku wyborów nie decyduje „potencjalne poparcie”, lecz realnie oddane głosy. A zatem obok deklarowanych sympatii równie ważna jest determinacja wyborców, która zaprowadzi ich do lokalu wyborczego. W historii nie brakuje polityków z potężnym elektoratem negatywnym, którzy mimo to odnieśli sukces. A działo się tak między innymi dlatego, że ich zwolennicy byli znacznie bardziej zdyscyplinowani i zmotywowani niż przeciwnicy.

Nie neguję, że ankieterzy w sondażu Onetu odpowiadali szczerze, kiedy stwierdzali, że rozważyliby głos na partię Hołowni. Ale o wyniku wyborów decydują działania, nie rozważania. Można mieć fantastyczny potencjał i nigdy go nie zrealizować.

Elektorat wciąż się zmienia

Chcę zostać dobrze zrozumianym – nie twierdzę, że Koalicja Obywatelska wygra następne wybory. Nie mogę wykluczyć, że na skutek błędów, wewnętrznych sporów czy skandali popularność partii Tuska gwałtownie się załame. Ale nie mamy też żadnych mocnych podstaw do twierdzenia, że obecny poziom poparcia to maksimum tego, co lider PO może dla swojego ugrupowania uzyskać. Sympatiami politycznymi nie rządzą prawa fizyki. Preferencje elektoratu zmieniają się na skutek zmieniających się okoliczności, ale także zmiany składu tegoż elektoratu – co roku ubywają nam setki tysięcy wyborców, a prawo głosu zyskują tysiące nowych.

O zmienności preferencji powinni doskonale pamiętać tak politycy Platformy, jak i PiS. Sam Tusk w 2010 r. buńczucznie twierdził, że Platforma „nie ma z kim przegrać”. Pięć lat później przegrała wszystko, co było do przegrania, a w połowie 2020 r. wydawało się, że pewnym krokiem zmierza do upadku. Dziś cieszy się zdecydowanie największym poparciem wśród partii opozycyjnych. Owszem, nie zmienia się ono od kilku miesięcy, ale to jeszcze nie oznacza, że nad partią wisi niemożliwy do przebicia sufit. To w najlepszym razie opinia politycznych przeciwników Tuska, a nie zweryfikowana teza.

Autor jest doktorem socjologii, doradcą politycznym i współautorem „Podkastu amerykańskiego”



O zmienności preferencji powinni doskonale pamiętać tak politycy Platformy, jak i PiS. Sam Tusk w 2010 r. buńczucznie twierdził, że Platforma „nie ma z kim przegrać”. Pięć lat później przegrała wszystko, co było do przegrania

Przygotuj się do zmian przepisów od 1 lipca 2022 r.



Publikacja w praktyczny sposób przygotowuje Cię do stosowania nowych przepisów. Poradnik prezentuje konkretne wskazówki, w jaki sposób dostosować się do zmian w podatkach i wynagrodzeniach wprowadzanych nowelizacją Polskiego Ładu, dotyczących m.in.:

- nowej skali podatkowej i kwoty zmniejszającej podatek,
- likwidacji ulgi dla klasy średniej,
- sposobu pobierania zaliczek na PIT od wynagrodzeń,
- przywrócenia możliwości częściowego odliczenia składki zdrowotnej,
- likwidacji ulgi podatkowej dla samotnych rodziców i przywrócenia możliwości wspólnego rozliczenia z dzieckiem.



Szczegóły na: **sklep.infor.pl**

Teraz w przedsprzedaży 20 zł taniej!

W Polsce znów pojawiła się dawno niewidziana dwucyfrowa inflacja, więc nieśmiało powracają także stare recepty gospodarcze. Dotychczas to PiS wytykało poprzednikom słynne „pieniędzy nie ma i nie będzie”, teraz partia Kaczyńskiego sama zaczyna głosić ideę dyscypliny budżetowej. W wywiadzie dla TVN24 wiceminister Artur Soboń nazwał waloryzację 500+ „niespecjalnie szczęśliwym pomysłem”, chociaż jeszcze w zeszłym tygodniu wydawało się niemal pewne, że na sobotniej konwencji PiS zostanie ogłoszona podwyżka świadczenia. Soboń stwierdził również, że rząd w obecnej sytuacji powinien prowadzić „ostrożną politykę fiskalną”, co kontrastuje z dotychczasową narracją jego partii.

Fatalnie by się stało, gdyby rząd przeszedł od jednej ściany do drugiej i w reakcji na podwyższoną inflację oraz rozchwywanie gospodarcze zaczął zaciskać Polakom pasa. Przed nami okres spowolnienia gospodarczego, a cięcia wydatków budżetowych w takiej sytuacji mogą pogłębić ewentualną

Finanse publiczne są całkiem zdrowe

recesję. Po prawie dwóch kadencjach PiS u władzy mnóstwo obszarów domeny publicznej leży odłogiem. Zaciskanie pasa oznaczałoby dalsze głodzenie budżetówki i pogłębianie marazmu usług publicznych. W nadchodzących latach Polska potrzebuje rozsądnego dofinansowania sfery budżetowej, a nie powrotu do słusznie minionych lat 90.

Finansowy PO-PiS

Obawy o nastanie czasu zaciskania pasa w wersji PiS-owskiej wcale nie są przesadzone. Podczas Europejskiego Kongresu Finansowego w Sopocie nowa minister finansów zapowiedziała „ostrożne podejście do nowych wydatków”, co jest eufemistycznym określeniem cięć, które zadeklarowała Magdalena Rzeczkowska. Według niej wydatki sektora finansów publicznych w 2025 r. spadną z 44,4 do 42,2 proc. PKB. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to niewiele, jednak nominalnie mowa o ponad 50 mld zł, licząc według ubiegłorocznego PKB. Cięcia mają dotyczyć głównie „niestandardowych wydatków”, które państwo poniosło w ostatnim czasie w celu ochrony dochodów społeczeństwa. Zacieśnienie fiskalne rzędu 2 proc. PKB będzie jednak oznaczać stagnację kluczowych obszarów sfery budżetowej, które obecnie potrzebują dofinansowania. Tym bardziej że równocześnie o 1 proc. PKB mają wzrosnąć wydatki na zbrojenia, więc pozostałe segmenty budżetówki będą miały do rozdysponowania jeszcze mniejszą część dochodu narodowego, niż zapowiedziała minister Rzeczkowska.

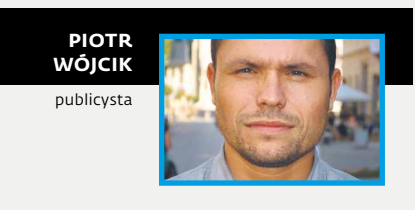
O zaciskaniu pasa wspomina również opozycja, a szczególnie jej liberalna część. Posłanka PO Izabela Leszczyna w rozmowie z Konradem Piaseckim w TVN24 stwierdziła, że nie należy już „rozrzucać kolejnych pieniędzy z helikoptera”, gdyż trzeba się skupić na walce z inflacją. Ponadto zadeklarowała, że jest „zwolenniczką powiązania świadczeń z realnym wzrostem gospodarczym”, co jest już zupełnie absurdalne, ponieważ oznaczałoby prowadzenie polityki procyklicznej, czyli między innymi schładzania gospodarki w czasie kryzysu.

Można założyć, że kuriozalny pomysł powiązania świadczeń ze wzrostem przyszedł Leszczynie do głowy w czasie wywiadu i nawet PO nie zdecydowałaby się go wprowadzić, gdyby wróciła do władzy. Nie zmienia to faktu, że idea zaciskania pasa znów stała się atrakcyjna i przywołują ją politycy od prawa do centrum. Wybrali na to najgorszy moment.

Spowolnienie na horyzoncie

Patrząc na wyniki PKB za I kw., można dojść do wniosku, że żadne spowolnienie nam nie grozi. Polska gospodarka urosła o 8,5 proc., co jest wynikiem wcześniej niemal niespotykanym. Problem w tym, że za zdecydowaną większość tego wzrostu – aż 7,7 pkt proc. – odpowiadało gromadzenie zapasów przez firmy, więc gdyby odjąć ten wkład, nasz wynik byłby mizerny. Polskie przedsiębiorstwa intensywnie zwiększały inwentarz także w całym 2021 r., więc można zakładać, że w nadchodzących miesiącach ten główny motor polskiego wzrostu mocno wyhamuje. Nie ma potrzeby ani nawet fizycznej możliwości gromadzenia półproduktów i materiałów w nieskończoność.

Nadchodzące spowolnienie zwiastuje majowy spadek wskaźnika PMI (Purchasing Manager Index)



**W NADCHODZĄCYM CZASIE
POLSKA POTRZEBUJE
ROZSĄDNego DOFINANSOWANIA
SFERY BUDŻETOWEJ,
A NIE POWROTU DO SŁUSZNIE
MINIONYCH LAT 90.**

do 48,5 pkt, co dowodzi mniejszej liczby zamówień w przedsiębiorstwach. I to drastycznie mniejszej, gdyż jeszcze w kwietniu PMI wyniósł ponad 52 pkt. Przedsiębiorstwa zaczynają więc składać mniej zamówień, gdyż zaopatrzyły się już pod sufit. Deweloperzy natomiast ograniczają nowe inwestycje mieszkaniowe, ponieważ z powodu wzrostu stóp procentowych zdolność kredytowa Polaków spadła o połowę. W I kw. 2022 r. liczba rozpoczętych budów mieszkań była o ponad jedną piątą niższa niż rok wcześniej.

Niezachęcające informacje płyną także zza oceanu. W USA jeszcze w ostatnim kwartale 2021 r. zanotowano bardzo wysoki, prawie 7-proc. wzrost. W pierwszych trzech miesiącach 2022 r. amerykańskie PKB jednak nieoczekiwanie spadło o 1,4 proc., chociaż ekonomisci zgodnie zapowiadali wzrost o ponad 1 proc. Sytuacja w Stanach Zjednoczonych jest niemal bliźniacza w stosunku do polskiej. Pod koniec ubiegłego roku szybki wzrost napędzało gromadzenie zapasów, które dodało do PKB aż 5,3 pkt proc. Na początku tego roku to właśnie zapasy odpowiadały za większość jego spadku.

Mało optymistycznie jest również w Państwie Środka, które z powodu powrotu epidemii koronawirusa wprowadziło daleko idące restrykcje, szczególnie w Szanghaju, który jest najważniejszym portem dla eksportu. Według prognoz chińskie PKB urośnie w tym roku o mniej niż 5 proc., co będzie najgorszym wynikiem od 1989 r.

Poza tym największe banki centralne zaczynają podwyższać stopy procentowe. Amerykańska Fed zrobiła już to dwukrotnie, w ślad za nią poszedł Bank Anglii. Nawet Europejski Bank Centralny zapowiedział serię podwyżek stóp od lipca. Zacieśnienie polityki monetarnej zacznie ściągać kapitał z gospodarek mniej rozwiniętych. Można więc zakładać, że banki centralne w Polsce i innych państwach naszego regionu też będą prowadzić bardziej jastrzębią politykę, co finalnie zwiększy koszty kredytu i wyhamuje aktywność gospodarczą.

Druga Grecja? Nie w Polsce

Jest więc bardzo prawdopodobne, że nadchodzące lata będą zdecydowanie chudsze niż poprzednie. W czasie stagnacji rząd powinien raczej zwiększać wydatki, niż je ciąć. Gdy aktywność gospodarcza spada, firmy zmniejszają zatrudnienie, a gospodarstwa domowe konsumpcję, to państwo powinno wypełnić powstałą lukę popytową, dzięki czemu recesja jest płytsza. Cięcia wydatków publicznych mogą pogłębić kryzys, z czym mieliśmy do czynienia w strefie euro, gdy w zamian za pomoc ze splatą długu publicznego południowej Europie zaserwowano drakońskie recepty. Na przykład Grecy musieli m.in. obniżyć płace w budżetówce i ograniczyć świadczenia socjalne, równocześnie podnosząc VAT. W rezultacie załamanie gospodarcze przybrało tam monstrualne rozmiary, a z powstającego marazmu państwa Południa nie wydobyły się do dziś. W marcu tego roku stopa bezrobocia w Grecji wyniosła 13 proc., a w Hiszpanii niemal 14 proc. Zaciskanie pasa w żaden sposób nie ograniczyło tam zadłużenia publicznego. Na koniec 2021 r. w Hiszpanii sięgnęło ono prawie 120 proc., a we Włoszech 150 proc. PKB. W Grecji wynosi dwukrotność rocznego PKB i ma tendencję wzrostową. Oczywiście przypadek Europy Południowej jest skrajny i nie ma ryzyka, że w Polsce będziemy mieli

do czynienia z podobną sytuacją. Z porażki polityki austerity Unia Europejska wyciągnęła wnioski i trudno sobie wyobrazić, by komukolwiek zaserwowano teraz podobną kurację. Od tamtego czasu EBC uruchomił ogromny program skupu obligacji rządów strefy euro, a podczas pandemii państwa UE wprowadziły niespotykane wcześniej pakiety stymulacyjne chroniące miejsca pracy w czasie lockdownów.

Poza tym Polska jest w zupełnie innej sytuacji niż Południe. Nasz dług publiczny sięga nieco ponad połowy PKB, więc jest kilkukrotnie mniejszy niż we Włoszech czy Grecji. Na nadchodzące lata jest prognozowany jego spadek, poza tym trzy czwarte naszego długu są emitowane w krajowej walucie. To nas różni chociażby od Bułgarii, Chorwacji czy Rumunii, w których ponad połowa długu publicznego jest zaciągnięta w walucie obcej, głównie w euro. W nadchodzących latach problemem może być rosnąca rentowność polskich papierów dłużnych, gdyż z powodu wojny inwestorzy życzą sobie wyższej premii za ryzyko. Nie zmienia to faktu, że nie ma potrzeby wprowadzania daleko idących cięć. Nasze finanse publiczne są całkiem zdrowe. To nasza domena publiczna jest chora.

Odchudzanie wychudzonego

Powszechnie się uważa, że sektor publiczny w Polsce pochłania jakieś niewyobrażalne pieniądze, w rzeczywistości jest jednym z najszczuplejszych w Europie. Polskie wydatki sektora finansów publicznych, które minister Rzeczkowska chce ściąć, są na ósmym miejscu od końca pośród krajów unijnych. Niższe notuje się jedynie w rajach podatkowych (Cypr, Luksemburg oraz Irlandia), państwach bałtyckich (poza Łotwą) oraz Rumunii i Bułgarii. W całej UE wydatki sektora publicznego wynoszą niecałe 52 proc. PKB, są więc o 8 pkt proc. wyższe niż w Polsce. Inaczej mówiąc, moglibyśmy zwiększyć wydatki publiczne o 200 mld zł i dopiero doszlibyśmy do średniej unijnej. Jeśli zapowiedzi Rzeczkowskiej się spełnią, pod tym względem spadniemy jeszcze za Cypr i Bułgarię, będziemy za to na równi z Luksemburgiem, czyli z 600-tys. rajem podatkowym.

Tutaj może pojawić się żelazny argument, że Polska wydaje miliardy na tzw. socjał. To prawda, że transfery społeczne za rządów PiS istotnie wzrosły, jednak nawet pod tym względem bardzo wyraźnie odstajemy od reszty UE. W 2020 r. wydatki na świadczenia socjalne w Polsce wyniosły 18 proc. PKB – przy średniej UE na poziomie 22 proc. Zresztą stosunkowo niskie nakłady na politykę społeczną nad Wisłą wskazała nawet Komisja Europejska w raporcie krajowym dla Polski za 2022 r. „Polska wydaje mniej na świadczenia społeczne niż inne kraje UE. W ostatnich latach różnica ta przekraczała 4 pkt proc. PKB rocznie. [...] Ponadto, chociaż zakres świadczenia na dziecko rozszerzono na wszystkie dzieci, od ponad pięciu lat jego wysokość nie była waloryzowana w celu uwzględnienia inflacji. Jednocześnie osoby pracujące na podstawie niektórych rodzajów umów cywilnoprawnych nie mają dostępu do kilku świadczeń społecznych, np. zasiłku dla bezrobotnych, świadczeń z tytułu macierzyństwa i rent inwalidzkich” – czytamy w publikacji KE.

Trudno więc znaleźć przesłanki za oszczędnościami w sektorze publicznym, które zapowiedziała minister finansów. Zwłaszcza że polskie usługi publiczne trawi mnóstwo poważnych problemów. Nauczyciele w ostatnich latach relatywnie zubożeli, co przyznał nieświadomie nawet Jarosław Kaczyński podczas sobotniej konwencji, gdy chwalił się podniesieniem płac w szkołach o jedną trzecią – w całej gospodarce płace od 2015 r. wzrosły o 45 proc. Nic więc dziwnego, że oświata ma problemy ze znalezieniem nowych chętnych do pracy, a liczba wakatów w szkolnictwie publicznym sięga już 7 tys. Nadchodzący rok szkolny może być kryzysowy, tym bardziej że z powodu wojny wzrośnie liczba uczniów.

Tradycyjnie potężne problemy ma ochrona zdrowia. W jej przypadku na szczęście ustawowo zagwarantowano wzrost nakładów do 7 proc. PKB do 2027 r., ale jak to pogodzić z cięciami rzędu 2 proc. PKB w całej budżetówce? Przecież mają wzrosnąć również wydatki na zbrojenia. Zapewne po portfelu dostaną więc urzędnicy. Za rządów PiS nakłady na administrację publiczną spadły już z 4,9 do 4,4 proc. PKB. Średnia unijna jest o połowę wyższa. Tymczasem w administracji co jakiś czas wrze. Strajk zapowiadają teraz chociażby związkowcy w ZUS.

„Jeśli zapowiedź konsolidacji fiskalnej będzie oznaczać dalsze mrożenie płac budżetówki, to nie będzie to mieć nic wspólnego z odpowiedzialnością. Po wakacjach czeka nas fala odejść nauczycieli, pracowników socjalnych, urzędników. To więcej niż prywatyzacja, to zwijanie państwa” – napisał na Twitterze dr Marcin Kędzierski z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Te słowa byłego prezesa Klubu Jagiellońskiego są doskonałą pointą planów budżetowych przedstawionych przez ideową następczynię Zyty Gilowskiej. 

Dobiega końca dziewiąta edycja konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki”, do udziału w którym zaprosiliśmy polskie uczelnie, instytuty badawcze i jednostki naukowe PAN. Od 28 stycznia do 10 czerwca w Magazynie DGP opisywaliśmy wynalazki nominowane przez naszą redakcję do nagrody głównej. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na specjalnej gali, 22 czerwca, podczas Kongresu 590, zaś podsumowanie

cyklu ukaże się w Magazynie DGP 24 czerwca. Główną nagrodą jest 30 tys. zł dla zespołu, który pracował nad zwycięskim wynalazkiem, ufundowane przez Mecenasa Polskiej Nauki – firmę Polpharma, oraz kampania promocyjna dla uczelni lub instytutu o wartości 50 tys. zł w mediach INFOR PL SA (wydawcy Dziennika Gazety Prawnej) ufundowana przez organizatora. Strona internetowa konkursu: eureka.dziennik.pl



MECENAS POLSKIEJ NAUKI



PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY MERYTORYCZNI



ORGANIZATOR



Probiotyki dla ziemniaka

Opracowany przez gdańskich naukowców preparat **chroni bulwy przed chorobami**

Dariusz Koźlenko

Jest czwartą pod względem ważności rośliną uprawną na świecie – po ryżu, kukurydzy i pszenicy. Europejczycy spożywają go pod różnymi postaciami codziennie. Krótko mówiąc, bez ziemniaka ani rusz. Trzeba przyznać, że ma wiele zalet. Można go uprawiać w różnych warunkach klimatycznych. Nie potrzebuje ogromnych ilości wody, radzi sobie bez nawożenia, w dodatku daje duże plony. Polska jest jednym z jego największych producentów na świecie.

Nowych ziemniaków nie produkuje się jednak z nasion. By je uzyskać, potrzebne są sadzeniaki, z których wyrastają nowe rośliny. Problem w tym, że nie można wykorzystywać w tym celu bulw, które właśnie wykopaliliśmy. – W glebie ziemniaki są narażone na kontakt z różnymi bakteriami – tłumaczy prof. Robert Czajkowski z Uniwersytetu Gdańskiego, kierownik zespołu, który opracował nowy sposób ochrony roślin przed zakażeniami bakteryjnymi. – Gdybyśmy wykorzystywali do sadzenia bulwy zebrane z pola, to po pewnym czasie patogeny skumulowałyby się i uprawa byłaby niemożliwa.

Pierwsze pokolenie sadzoniaków uzyskuje się w hodowlach hydroponicznych albo kulturach tkankowych (in vitro) w laboratorium. Dopiero z takich roślin otrzymuje się sadzeniaki najwyższej klasy, które kosztują od pół do nawet jednego euro za sztukę. Drogo, ale lepszego rozwiązania nie ma. Kupując je, dostajemy certyfikat, że są wolne od patogenów wirusowych i bakteryjnych. Mimo to nie jest tak pięknie, jak mogłoby się wydawać. – Po pierwsze, takie sadzeniaki w glebie mogą zostać szybko zainfekowane – mówi prof. Czajkowski. – Po drugie, metody testowania ciągle nie są idealne. Bywa, że bakterii w bulwach jest tak mało, że są niewykrywalne, ale w glebie znajdują dogodne warunki do tego, by zacząć się namnażać. A wtedy mogą zagrozić całemu polu.

Przeciwko chorobom bakteryjnym ziemniaka idealnym rozwiązaniem byłyby probiotyki. Ale w UE i wielu innych miejscach na świecie obowiązuje zakaz ich stosowania. Jedyne, co można zrobić, to usuwać chore

rośliny z pola. – Na niektóre patogeny można rośliny ziemniaka uodpornić poprzez odpowiednie krzyżówki – mówi prof. Czajkowski. – Ale są też takie, wobec których nie jest to możliwe. W takim przypadku z pomocą może przyjść nasz biopreparat.

Opracowany przez gdańskich naukowców środek jest w stanie leczyć ziemniaki zainfekowane, czyli ograniczyć rozwój patogenów bakteryjnych, a w przypadku ziemniaków zdrowych nie dopuścić do ich zakażenia. Funkcję leczenia łączy więc z funkcją prewencyjną. Preparat ma postać proszku, ale można go też rozpuścić i stosować jako oprysk. – Skuteczność preparatu porównywalna jest z efektywnością metod chemicznych – tłumaczy prof. Czajkowski. – Nasz środek ma jednak nad nimi jedną przewagę: jest preparatem biologicznym, całkowicie naturalnym i bezpiecznym dla środowiska i ludzi. To unikatowa mieszanka naturalnych pożytecznych szczepów bakterii, probiotyków dla roślin, które nie są patogenne dla ludzi i zwierząt, więc ich stosowanie jest bezpieczne. Możemy go łatwo i tanio wyprodukować, szybko dostarczyć, bo produkcja nie jest skomplikowana, nie używa się też w niej chemii.

Tylko w Europie straty w produkcji ziemniaka spowodowane przez bakterie sz-



Prof. Robert Czajkowski z Uniwersytetu Gdańskiego

kuje się na ponad 250 mln euro rocznie. Biologiczny Preparat Ochronny z Gdańska może je znacznie ograniczyć. A biorąc pod uwagę, że można go stosować również do cebulek roślin ozdobnych, jego możliwości komercjalizacji rosną. Tym bardziej że jego skuteczność została już potwierdzona w praktyce. ©

Należy zadbać o patent globalnie

PIOTR GODLEWSKI

europejski rzecznik patentowy JWP Rzecznicy Patentowi



Istotą rozwiązania, zgłoszonego do opatentowania przez Uniwersytet Gdański oraz Gdański Uniwersytet Medyczny, jest wykorzystanie unikatowej mieszaniny pożytecznych i bezpiecznych bakterii, przygotowanej w postaci preparatu ochronnego – probiotyku dla roślin. To rozwiązanie doskonale wpisuje się w szeroko rozumiane pojęcie innowacyjności.

Pierwszą z płaszczyzn, na których można analizować wynalazek, jest ekologia. Coraz więcej osób zwraca uwagę na jakość spożywanych produktów i wybiera pochodzące z upraw ekologicznych. Nie tylko z powodów zdrowotnych, lecz także ze względu na brak ich destrukcyjnego wpływu na środowisko naturalne.

Drugą płaszczyzną jest wymiar ekonomiczny. Jeżeli ziemniaki, stanowiące czwartą co do wielkości uprawę na świecie, będą traktowane tym pro-

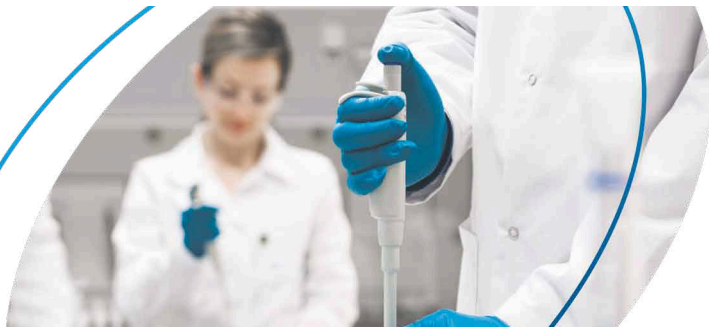
biotykiem, łatwo wyliczyć, że potencjalny rynek zbytu i zainteresowanie preparatem przełożą się na wymierne korzyści finansowe z patentu. A jeżeli dodamy do tego jeszcze szacowane straty w produkcji ziemniaka w Europie, spowodowane bakteryjnymi zakażeniami, wynoszące od 10 do 20 proc. plonów o łącznej wartości ponad 250 mln euro rocznie, trudno nie dostrzec dobrej finansowej perspektywy zgłoszenia patentowego.

Trzecia płaszczyzna to wymiar zdrowotny. Zgłoszone do opatentowania rozwiązanie pozwoli znacznie ograniczyć użycie chemicznych środków ochrony roślin w rolnictwie.

Wreszcie czwarta perspektywa – globalny zasięg. Ziemniaki są uprawiane na całym świecie, więc powinno to zachęcić do mądrego zaplanowania strategii patentowej i jej rozszerzenia w odpowiednim momencie do zgłoszenia na postępowanie międzynarodowe (PCT). Późniejszy etap – wybór odpowiednich faz krajowych – to już tylko formalność i dobór ochrony rozwiązania w tych państwach, w których uprawia się ziemniaki w znacznych ilościach.

Czy bez instytucji patentu, przynajmniej wyłączonej na danym terytorium, poszukiwanie rozwiązań istotnych z punktu widzenia tak wielu płaszczyzn byłoby możliwe? W mojej ocenie odpowiedź na to pytanie jest tylko jedna – niestety nie. ©

KOMENTARZ



MECENAS
POLSKIEJ
NAUKI

REKLAMA

Rosatom

stanie się pariasem, ale jeszcze nie teraz

Nowe reaktory do szerszego użytku mają wejść mniej więcej na początku lat 30. XXI w. I tutaj już **Rosjanie raczej pozostaną w tyle**



foto: Agata Heinrich-Mastalerz / Materiały prasowe

JAKUB WIECH

zastępca redaktora naczelnego
Energetyka24.com

Z Jakubem Wiechem
rozmawia Bartosz Paszcza

Samoloty pasażerskie rosyjskie są jedynie z nazwy, przemysł kosmiczny jest wypierany przez prywatne firmy z Zachodu. A jaką pozycję Rosja zajmuje w łańcuchu dostaw dla energetyki jądrowej?

Jest poza pierwszą trójką wydobywców uranu, zajmuje natomiast względnie wysoką pozycję, jeśli chodzi o proces jego wzbogacania – odpowiada za 26 proc. wzbogaconego uranu trafiającego na rynek europejski. Rosjanie nie zdominowali więc rynku, zarówno światowego, jak i europejskiego. To się przekłada na możliwość zastępowania ich surowca, zwłaszcza że elektrownie jądrowe mają dość długi cykl paliwowy. Nie trzeba stać z łopatą i przez cały czas dorzucać uranu do reaktora. Na przykład Ukraina ma zapasy paliwa jądrowego na sześć–osiem lat, jest więc pod tym względem w miarę zabezpieczona. Jeśli chodzi o atom, to rosyjski szantaż paliwowy praktycznie nie wchodzi w grę.

Są możliwości dostawy z takich krajów jak Australia czy Kanada. Mamy też europejskie zakłady produkcji paliwa jądrowego w Szwecji, we Francji, w Hiszpanii czy w Niemczech. Można jednak zauważyć, że współpraca jądrowa z Rosją trwa mimo wojny. Przy zamykaniu europejskiego nieba poczyniono wyjątek dla samolotów wiozących paliwo do słowackich elektrowni jądrowych. Ten transport przeleciał m.in. nad Polską.

Jak donosił w końcu kwietnia portal Politico, opierający się wprowadzeniu unijnego embarga na ropę Niemcy mieli zaproponować zakaz importu uranu. Przewidywano, że sprzeciw wobec tej propozycji miał popłynąć z Czech, Węgier i ze Słowacji, gdzie znajdują się rosyjskiej produkcji reaktory. „To niepokojące, ponieważ w 100 proc. polegamy na rosyjskich dostawach uranu” – powiedział Politico Karol Galek, słowacki sekretarz stanu ds. energii. Czy zmiana dostawcy paliwa jest możliwa? Można zastąpić rosyjskich producentów, choć byłoby to

na pewno bardziej kosztowne, zwłaszcza w takim krótkim okresie, jeżeli to embargo byłoby nałożone w ciągu kilku miesięcy. Ta propozycja to również gra niemieckiego kanclerza ukierunkowana na własne moce przerobowe. Niemcy mają zakład produkcji paliwa jądrowego, który funkcjonuje, choć pozbywają się samych elektrowni. Natomiast Rosja podlega już de facto sankcjom. Czesi wykluczyli Rosjan z przetargu na rozbudowę swoich mocy jądrowych, Finowie wyrzucili ich z budowanej elektrowni jądrowej Hanhikivi. Konkretyzując się powoli prowadzone już wcześniej rozmowy amerykańskie z poszczególnymi krajami Europy Środkowej. Na przykład Rumunia rozbudowuje elektrownię Cernavoda już za amerykańskie pieniądze i z wykorzystaniem tamtejszych technologii. Bułgaria prawdopodobnie również wejdzie we współpracę z USA na tym polu. Pod znakiem zapytania pozostaje Polska. Ten znak zapytania jest jednak w zasadzie umowny, bo wiemy już, że najprawdopodob-

niej to amerykańska oferta zwycięży w przetargu na naszą elektrownię. A elektrownie to przyczółek zbliżający kraje do orbity dostawcy. Dlatego warto się przyjrzeć, gdzie Rosjanie budują za swoje pieniądze i ze swoją technologią elektrownie jądrowe. To Białoruś, Węgry i państwa afrykańskie – rejon, gdzie rosyjskie wpływy są silne albo mają się wzmocnić.

W latach 2011–2022 na świecie zainicjowano budowę 57 reaktorów. 13 z nich – w tym aż 10 poza granicami Rosji – buduje Rosatom. Są też te wcześniejsze, w Chinach, Indiach, Turcji czy Egipcie. Co więcej, Rosja część tych inwestycji silnie kredytuje. Na przykład egipski projekt finansowany jest z nisko oprocentowanej pożyczki pokrywającej aż 85 proc. kosztów. To nie wygląda na projekt gospodarczy, tylko geopolityczny. Rosatom przez ostatnie 20 lat sprzedał więcej technologii jądrowych niż Francja, Korea, Japonia oraz USA razem wzięte. To jest absolutny lider. Dopiero od nie-



**Węgierska
elektrownia
atomowa
Paks**

będzie mowy. Ankara też raczej nie zamierza się wycofywać. Problemem może być raczej turecka gospodarka, która może nie udźwignąć tak wielkiego projektu jak budowa elektrowni. Nato miast w Afryce Rosjanie są coraz silniej obecni. Oczywiście wyprzedzają ich Chiny, ale one bardziej się skupiają na inwestycjach w energię konwencjonalną oraz infrastrukturę drogową. Chociaż relacje bilateralne Rosji i Chin są coraz bardziej zdominowane przez tę drugą stronę, to w Afryce grają do wspólnej bramki. To są moim zdaniem pierwsze przymiarki do nowej kolonizacji Afryki, jakkolwiek brutalnie to brzmi. Rosjanie robią tam to, czego Europejczycy i Amerykanie nie robili: dają państwom szerokie możliwości w zakresie dostępu do energii, infrastruktury, lepszego poziomu życia. Inaczej niż gospodarczo zorientowani Chińczycy Rosjanie moim zdaniem patrzą przez pryzmat potencjalnych nowych frontów, zaplecza do angażowania sił zachodnich.

Rosja te inwestycje musi jednak kredytować. Czy w dobie sankcji jest w stanie to udźwignąć?
Sankcje europejskie oczywiście się ją zniszczenie, ale nie są zabójcze. Głównie ze względu na energetyczną podległość Europy względem Rosji. Kryzysu gospodarczego

go, który mógłby skutkować zamrażaniem czy wycofywaniem się z tych inwestycji, na razie nie ma, choć może do niego dojść, jeżeli sankcje będą utrzymywane na stałym lub rosnącym poziomie. Pytanie, czy wtedy Rosjanie nie spróbują poświęcić innych części gospodarki, by utrzymać funkcjonowanie działalności eksportowej, pozwalającej na budowanie zagranicznych wpływów.

Trudno o innowacje w oligarchicznej, scentralizowanej gospodarce. Skutkiem tego w wielu sektorach jest powolne obumieranie rosyjskiej aktywności. Na przykład Roskosmos, po sytych latach bycia wiodącym dostawcą ładunków na orbitę jest cenowo i jakościowo wypierany przez prywatne amerykańskie firmy dysponujące raketami nowego typu. Czy w technologiach jądrowych czeka nas podobny scenariusz?

To jest tak naprawdę pytanie o przyszłość przemysłu jądrowego. Teraz jesteśmy u progu czegoś, co można nazwać drugim renesansem jądrowym. Pierwszy nastąpił kilkanaście lat po Czarnobylu, a został zakończony katastrofą w Fukushima. 11 lat później w Europie buduje się bardzo dużo nowych elektrowni jądrowych. W Stanach Zjednoczonych trwa rozpoczęty jeszcze przez Donalda Trumpa proces wskrzeszania przemysłu atomowego. Albo



Ukraina ma zapasy paliwa jądrowego na sześć-osiem lat, jest więc pod tym względem w miarę zabezpieczona

w Belgii, która po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę wycofała się z planów wygaszania swoich elektrowni. Mamy pewne przesłanki, żeby sądzić, że w ujęciu globalnym przemysł jądrowy będzie się rozwijał. Jaką część tego tortu przejmie Rosja? Spada oczywiście jej wiarygodność jako partnera, bo nie wiadomo, kiedy i jakimi sankcjami zostanie jeszcze objęta. A dotychczasowe mogą ograniczyć ich zdolność kredytowania, a przez to eksportu. W energetyce jądrowej zachodzi też rewolucja technologiczna – minimalizacja reaktorów. To technologie rozwijane głównie w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i we Francji. Reaktory SMR do szerszego użytku mają wejść mniej więcej na początku lat 30 XXI w. Tutaj Rosjanie mogą już zostać w tyle. Ja widzę scenariusz, w którym Rosatom jest pariasem tego rynku, działającym w oparciu o eksportację sprawdzonych, ale nierozwijanych już technologii. Dotychczasowy rozmach eksportowy rzutuje jednak pozytywnie na kondycję spółki, będzie ona wciąż znajdować nabywców. To będzie jednak rozwój ukie-
runkowany na takie miejsca jak Afryka czy Ameryka Południowa. ©©

Autor prowadzi podcast ScepTech,
jest analitykiem danych, ekspertem
Klubu Jagiellońskiego ds. polityki
technologicznej

dawna zwłaszcza Stany Zjednoczone, które notabene uzależniły się m.in. od rosyjskiego uranu, za uwałyły, że ta aktywność to również wbijanie flag na geopolitycznej mapie świata. Na przykład Węgry przez swoją bliskość z Rosjanami na płaszczyźnie energetycznej w dużej mierze stają się ich koniem trojańskim w Europie. Elektrownia Paks jest po prostu kolejnym krokiem w energetycznym zbliżeniu tych państw i częścią kompleksowego planu oparcia się Węgier na tanich surowcach i technologiach rosyjskich w celu wzmocnienia swojej gospodarki.

Węgry nie zrezygnują?
Dla nich elektrownia jest jednostką o znaczeniu strategicznym. Bez niej Węgry mogą mieć poważne problemy ze zbilansowaniem miks energetyczny. Zastanawiam się, czy tak zaawansowany projekt jest jeszcze w ogóle podatny na zmiany w zakresie dostawy technologii. Jedyną opcją wymuszenia tego na Budapeszcz jest możliwość

sankcji finansowych nałożonych na strumień pieniędzy płynący z Rosji.

A jakie podejście do kontynuacji współpracy z Rosjanami mają Turcja, Indie czy kraje Afryki?

Ciekawe są pod tym względem Indie, które chcą potroić swoje moce w elektrowniach jądrowych w ciągu najbliższych kilkunastu lat. To będzie wymagało współpracy z partnerami międzynarodowymi. Umowę na budowę sześciu reaktorów zawarł również francuski EDF, a to dopiero początek. Po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny w Ukrainie Rosjanie zaczęli też silnie współpracować z Indiami na polu odbioru ropy naftowej. O ile w 2021 r. eksport tam wyniósł tylko kilkanaście milionów ton tego surowca, czyli mniej niż np. do Polski, o tyle do końca kwietnia 2022 r. było to już ok. 40 mln ton. Rosjanie udzielili Indiom prawie 30 proc. rabatu. To skłania do wniosku, że o jakimkolwiek tapinowaniu w tych energetycznych relacjach raczej nie

NOWY SERWIS

CMEROWA

cyfrowa-gospodarka.gazetaprawna.pl

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

Partner



Bank Polski



Świat produkuje coraz więcej żywności na coraz mniejszej powierzchni dla coraz większej liczby ludzi. I nawet zablokowanie przez Rosję eksportu żywności z Ukrainy nie odwróci tego trendu

Cud

Sebastian Stodolak

W 1800 r. na przeciętnego mieszkańca planety przypadało ok. 2 tys. kcal dziennie. Populacja Ziemi liczyła wtedy ok. 1 mld osób, a w skali globu produkowano ok. 2 bln kcal. Dziś podaż kalorii na jednostkę przekracza 3 tys., a w USA sięga nawet ponad 3,7 tys. kcal. Światowa populacja wynosi już 8 mld, co oznacza, że producenci żywności wytwarzają przynajmniej 24 bln kcal dziennie. Co więcej, mimo że produkcja kalorii zwiększyła się w ciągu ostatnich 200 lat 12-krotnie, powierzchnia wykorzystywanych gruntów rolnych wzrosła jedynie pięciokrotnie. A to nie koniec. Badania jednoznacznie wskazują, że grunty rolne zaczęły się w ciągu ostatnich dwóch dekad kurczyć. Jak zwraca uwagę Hannah Ritchie, autorka serwisu Ourworldindata.com, „z punktu widzenia przyrody to prawdziwy przełom. (...) Ludzie wycięli jedną trzecią światowych lasów i dwie trzecie dzikich pastwisk. Pociągnęło to za sobą ogromne koszty dla bioróżnorodności naszej planety. W ciągu ostatnich 50 tys. lat biomasa dzikich ssaków zmniejszyła się o 85 proc. Rozwijające się rolnictwo jest najważniejszym czynnikiem niszczącym dzikie tereny na świecie. Obecnie ekspansja terenów rolniczych dobiega końca. Po tysiącach lat minął punkt kulminacyjny, a w ostatnich latach wykorzystanie gruntów rolnych na świecie zmniejszyło się” – pisze Ritchie.

Jak do tego doszło?

Rolnictwo – dziecko handlu

Historia rolnictwa jest związana z jedną z najważniejszych przemian cywilizacyjnych: przejściem ludzkości z koczowniczego, zbieracko-łowieckiego trybu życia do osiadłego.

Rozpoczęło się to ok. 10 tys. lat temu i było możliwe w wyniku istotnych zmian

klimatycznych, czyli końca epoki lodowej i ocieplenia się klimatu. Nie da się jednak całej tej historii tłumaczyć wyłącznie obniżeniem temperatury.

Matt Ridley, brytyjski pisarz popularnonaukowy i doktor zoologii, w książce „The Rational Optimist” przekonuje, że warunkiem rozwoju rolnictwa był wcześniejszy rozwój handlu: „Zwykle twierdzi się, że to rolnictwo umożliwiło tworzenie kapitału poprzez generowanie zmagazynowanych nadwyżek, a te mogły być wykorzystywane w handlu. (...) Tymczasem rolnictwo było możliwe dzięki handlowi. Handel stanowił zachętę do specjalizowania się w produktach rolnych i wytwarzania nadwyżek żywności” – wyjaśnia Ridley. Nic dziwnego więc, że rolnictwo zaczęło się pojawiać na przestrzeni kilku tysięcy lat i niezależnie od siebie na Bliskim Wschodzie, w Andach, Meksyku, Chinach, na wyżynach Nowej Gwinej, w brazylijskich lasach deszczowych i w afrykańskim Sahelu – w rejonach, gdzie zachodziła intensywna wymiana handlowa. Ponieważ uprawy nieużytkowanej wcześniej ziemi były wydajniejsze, pierwsi rolnicy mieli impuls do poszukiwania nowych gruntów. Pozyskiwali je, wypalając lasy i uzyskując żyzną ściółkę, co z kolei zapoczątkowało brzemienne w skutkach proces deforestacji. Płodzimian, czyli efektywniejsze i oszczędniejsze gospodarowanie gruntami, pojawił się dopiero w średniowieczu.

Błędem byłoby też twierdzenie, że rolnictwo rozwinęło się dzięki jakimś nowym technologiom obróbki żywności – czyli że opłacało się zasiewać pola dopiero wtedy, gdy wymyślono, jak upiec chleb. Społeczności koczownicze potrafiły wypiekać chleb już co najmniej 23 tys. lat temu, na co wskazują wykopaliska z terenów Morza Galilejskiego (np. kamienne piece). Mimo to przez kolejne tysiące lat rolnictwo nie szło do przodu. Ludzie stosowali techniki przetwarzania żywności bez „udomawiania roślin”, żywiąc

się żołądźmi, roślinami strączkowymi czy dzikimi ziarnami. Szukali w naturze dodatkowych kalorii, które nie wiązałyby się z ryzykiem polowania. Ridley spekuluje, że wynalazczynią rolnictwa była kobieta. „Czy można mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że to kobieta, pracowita zbieraczka, a nie mężczyzna, dyletancki myśliwy, jako pierwsza wpadła na pomysł zasiania ziarna? Zboże zasiane w mule na brzegu rzeki lub na innej gołej ziemi, a następnie starannie odchwaszczone i strzeżone przed ptakami, oznaczałoby nową i cięższą pracę, ale przyniosłoby nagrodę w postaci plonów dla rodziny kobiety, która tego spróbowała. Nadwyżkę mąki mogłaby wymienić z myśliwymi na mięso, co utrzymałoby przy życiu nie tylko właścicielkę pola i jej dzieci, ale być może także kilka innych rodzin myśliwskich” – pisze popularyzator nauki. Eksperci twierdzą, że pierwszą rośliną uprawną była prawdopodobnie ciecierzka, potem przyszły żyto i pszenica einkorn.

Jedyna taka rewolucja

8 tys. lat przed Chrystusem na Ziemi żyło ok. 5 mln ludzi. W jego latach było to już 300 mln. Gdyby nie rewolucja neolityczna (czyli okres rozwoju rolnictwa), 60-krotny przyrost populacji nie miałby miejsca. Owszem, w kolejnych wiekach ludzkość regularnie nękały plagi głodu, ale nigdy nie odwróciły wzrostowego trendu – społeczeństwa coraz skuteczniej uprawiały i przetwarzały żywność, ale także gromadziły jej zapasy. Do osiągnięcia sytości brakowało im już tylko powstania zglobalizowanego systemu kapitalistycznego, który dał bodźce do odkrywania nowych metod produkcji żywności i jej skalowania.

Jak na ironię, pierwsi wybitni teoretycy tego systemu, jak ekonomista Thomas Malthus, wieszczili nieuchronność klęski głodu. Produkcja żywności miała nie nadążyć za skokowym wzrostem populacji. Byli w błę-



Krzyżówki Borlauga bardzo szybko wprowadzono w całym Meksyku – w efekcie w 1963 r. zbiory były sześciokrotnie większe niż w 1944 r. i kraj stał się eksporterem netto pszenicy. Sukcesy te Borlaug powtórzył następnie w Indiach i Pakistanie



fot. Michal Kosci/Forum

kaloryczny

dzie – nie dostrzegali tego, czym kapitalizm jest, a jest – jak to ujmuję Ridley – „maszyną do zbiorowego rozwiązywania problemów”. Jednym z kluczowych odkryć pozwalających na uniknięcie klęski było opracowanie metody wytwarzania nawozu sztucznego. Choć produkt ten nigdy nie miał dobrego PR-u, to bez niego ludzkość faktycznie czekałoby chroniczne niedożywienie. Głównym składnikiem nawozu jest azot. To on pomaga roślinom rosnąć. Przed wynalezieniem nawozów sztucznych korzystano z tych naturalnych, np. z ptasich odchodów pozyskiwanych z wybrzeży Chile. Jednak popyt na żywność rósł, a zgromadzonych przez stulecia nawozów ubywało. Metodę pozyskiwania azotu z atmosfery (stanowi on 78 proc. składu powietrza) opracował niemiecki chemik Fritz Haber, pracownik firmy BASF. „Po kilku latach eksperymentów, w 1909 r. udało mu się wyprodukować amoniak z wodoru i azotu atmosferycznego. Problem polegał na tym, że mógł to robić tylko na bardzo małą skalę. Nie istniały duże zbiorniki, które działałyby w wymaganych temperaturach i ciśnieniach. Carl Bosch, kolega z firmy BASF, przeprowadził ponad 20 tys. eksperymentów w ponad 20 reaktorach, zanim opracował właściwy proces syntezy amoniaku na skalę przemysłową. Dzięki procesowi Habera-Boscha nawóz sztuczny stał się tani i powszechny, a wkrótce zaczęto go stosować na całym świecie” – pisze szwedzki historyk i promotor liberalizmu ekonomicznego Johan Norberg w książce „Progress”. Początek XX w. to wciąż silna ekspansja terenów rolniczych – wówczas jeszcze konieczna. Rozrost ten był możliwy także w wyniku wynalezienia silnika spalinowego, a co za tym idzie – traktora. Konie przestały być już na roli niezbędne, a wcześniej na ich wyżywienie przeznaczano ok. 30 proc. wszystkich gruntów rolnych. Rozpoczęła się szybka intensyfikacja rolnictwa. Haber i Bosch za swoje odkrycia otrzymali

Nagrody Nobla. Laureatem jej pokojowej wersji był zresztą również Amerykanin Norman Borlaug. Podczas pobytu badawczego w Meksyku w latach 40. Borlaug wymyślił metody krzyżowania różnych odmian pszenicy zapewniające odporność na rdzę, chorobę roślin powodującą zwykle ogromne straty w plonach. Ta i inne techniki (jak tzw. shuttle breeding, czyli hodowla rotacyjna, pozwalająca uzyskiwać dwa plony w roku w różnych środowiskach glebowych i klimatycznych) dały początek zielonej rewolucji, która po raz pierwszy w historii położyła kres głodowi na całym świecie. Krzyżówki Borlauga bardzo szybko wprowadzono w całym Meksyku – w efekcie w 1963 r. zbiory były sześciokrotnie większe niż w 1944 r. i kraj stał się eksporterem netto pszenicy. Sukcesy te Borlaug powtórzył następnie w Indiach i Pakistanie.

Kolejną technologią, która powoduje wzrost efektywności produkcji żywności i w długiej perspektywie pozwala na zmniejszanie powierzchni gruntów rolnych, są manipulacje genetyczne.

Mimo że inżynieria genetyczna pozwala produkować więcej żywności przy mniejszym zużyciu zasobów argumenty anty-GMO w końcu przyczyniły się do wprowadzania przez niektóre kraje zakazów. W 2002 r. nieżyjący już prezydent Zambii Levy Mwanawasa zablokował np. pomoc żywnościową dla kraju obejmującą zboża modyfikowane genetycznie, nazywając je „trucizną” (2,5 mln mieszkańców było wówczas dotkniętych głodem). Zakaz importu żywności GMO został tam zniesiony dopiero w 2019 r. Zresztą jej akceptacja na całym świecie wzrosła – w 2019 r. aż 94 proc. upraw soi na świecie stanowiła soja GMO.

Niebezpieczne rolnictwo

Wszystkie te elementy – od napędzanej handlem rewolucji neolitycznej przez wynalezienie płodozmianu po metodę Habera

i Boscha, zieloną rewolucję Borlauga, GMO i inne technologie rolnicze – skumulowały się i doprowadziły do przełomu. Choć od 1961 r. populacja Ziemi zwiększyła się o ponad 150 proc., to powierzchnia gruntów rolnych rozrosła się tylko o 7 proc. W krajach bogatych zatrzymał się proces deforestacji, a nawet uległ odwróceniu. Na przykład w Europie w latach 1990–2015 powierzchnia lasów zwiększała się o ponad 0,3 proc. rocznie, a w USA o 0,1 proc. „Lasy powracają również w wielu krajach rozwijających się. W Chinach powierzchnia lasów rośnie obecnie o ponad 2 mln hektarów rocznie” – zauważa Norberg.

Nie dość, że ziemi potrzeba nam coraz mniej, to jeszcze rolnictwo przyszłości będzie w coraz mniejszym stopniu oparte na ludzkiej pracy. Będzie to zasługa postępu technologicznego. Nad polami ryżowymi już dzisiaj unoszą się drony pomagające siać i kontrolować uprawy. Podobne zadanie z niezwykłą precyzją wykonują autonomiczne pojazdy rolnicze. W powszechnym użyciu znajdują się także specjalistyczne maszyny do oprysków, które są w stanie unieszkodliwiać chwasty bez niszczenia innych roślin. Dawniej rolnik sprawdzał własnoręcznie stan swoich upraw – musiał wyjść w pole i obejrzeć je, dotknąć ich. Było to niezwykle czasochłonne. Dzisiaj w wielu przypadkach robotę tę wykonuje system czujników gruntowych spiętych z obrazem satelitarnym. Dzięki temu właściciel gospodarstwa na bieżąco wie, jakie jest nawodnienie gruntu, temperatura powietrza i jego wilgotność, a przede wszystkim kondycja upraw. Systemy satelitarne pozwalają mu także z wyprzedzeniem reagować na ruchy chmar insektów. Ważna jest szybkość reakcji, bo niektóre roje – np. ćmy z gatunku Spodoptera frugiperda – pokonują 100 km w kilka godzin. Wiedząc, że nad nasze uprawy nadciąga taka chmara, można prewencyjnie i precy-

zyjnie spryskać je odpowiednim środkiem odstraszającym.

Z automatyzacji rolnictwa powinniśmy się cieszyć z wielu powodów. Po pierwsze umożliwi ona dalszy wzrost efektywności: z coraz mniejszych obszarów będziemy pozyskiwać coraz więcej żywności. Przyczyni się to także do walki ze zmianami klimatu: mniej rolnictwa to więcej dzikiej przyrody lub plantacji pochłaniających dwutlenek węgla. Możliwe, że dzięki inżynierii genetycznej uda się wyprodukować rośliny znacznie bardziej łase na CO₂ niż te niemodyfikowane. Po drugie postęp technologiczny uwolni zasoby siły roboczej do bardziej produktywnych prac. Rolnictwo oparte na pracy rąk to najmniej wydajny dział gospodarki. Co więcej, intensywne i precyzyjne rolnictwo wraz z produkcją żywności będą przenosiły się bliżej miast, by ograniczyć koszty i emisję transportu. Same plusy. Po trzecie automatyzacja ograniczy liczbę wypadków w rolnictwie, które dzisiaj jest jedną z najbardziej niebezpiecznych profesji – nie mniej niż górnictwo.

Co ciekawe, najnowocześniejsze rolnictwo to dziś domena nie tylko Stanów Zjednoczonych, lecz także państw takich jak Chiny czy Tajlandia. Unia Europejska w tym kontekście zauważalnie odstaje. Modernizację rolnictwa unijnego paraliżuje polityka subsydiowania jego archaicznych form, czyli wspólna polityka rolna, która generuje negatywne bodźce rynkowe i służy przede wszystkim najbogatszym farmerom (pisałem o tym w tekście „Wspólny Absurd Rolny”, DGP, nr 146/2021).

Gdy przystępowaliśmy do Unii, jedną z największych obaw, na której pogrywali eurosceptycy, można było streścić następująco: „Przyjdzie Niemiec i zalesi Polskę, żeby mieć gdzie urządzać polowania”. W rzeczywistości nie powinniśmy byli obawiać się takiej wizji – choć z pewnym zastrzeżeniem. Oto wskazane i pożądane jest nie tylko zalesienie Polski (mowa oczywiście o lasach powstających w miejsce upraw rolnych), lecz także pozostałych państw Unii. Obecnie lasy stanowią ok. 41 proc. jej terytorium, ale możemy sobie wyobrazić, że ten odsetek sięga 50 proc. Szkoda tylko, że gospodarka leśna nie jest i nigdy nie była oczkiem w głowie ani Niemców, ani nikogo innego w UE – np. w latach 2015–2020 r. przeznaczono na nią 8,2 mld euro, czyli zaledwie 2,5 proc. wydatków na wspólną politykę rolną.

PKB sprzymierzeńcem natury

Hannah Ritchie zauważa trzeźwo, że trend polegający na redukcji powierzchni gruntów rolnych może ulec ponownemu odwróceniu. Nic nie jest nam dane raz na zawsze. Ale nie chodzi jej o Rosję i blokowanie eksportu żywności z Ukrainy – to chwilowe zawirowanie. Ritchie zwraca uwagę, że powierzchnia gruntów rolnych w niektórych krajach wciąż rośnie, a za spadek w skali globalnej odpowiada przede wszystkim malejąca powierzchnia pastwisk. Tereny pod uprawę zbóż nieustannie się rozszerzają. Ritchie tłumaczy, że ma to związek z rosnącą globalnie konsumpcją mięsa (produkujemy go trzykrotnie więcej niż pół wieku temu). Zwierzęta hodowlane – kury czy świny – nie potrzebują łąk, ale muszą coś jeść. „Oznacza to, że coraz więcej zwierząt jest karmionych roślinami rosnącymi na polach uprawnych, a nie na pastwiskach. Prawie połowa ziem uprawnych na świecie jest wykorzystywana do produkcji paszy dla zwierząt. Niestety, proces przekształcania upraw w mięso jest nadal mało wydajny i potrzebujemy dużo ziemi, by wyprodukować niewielką jego ilość. Biopaliwa dodatkowo zwiększają presję na grunty uprawne, zwłaszcza w takich krajach jak USA i Brazylia” – pisze autorka. Jej zdaniem należy inwestować w produktywność rolnictwa i najnowsze technologie, ale też zastanowić się nad zmniejszeniem konsumpcji mięsa.

Wydaje się jednak, że – może poza ograniczeniem produkcji biopaliw – jej rekomendacje nie dotyczą sedna sprawy. Rolnictwo staje się coraz intensywniejsze i nowocześniejsze tam, gdzie jest notowany dynamiczny wzrost gospodarczy. To właśnie rosnące w oparciu o prywatne inwestycje PKB pozwoli trwać cudowi kalorycznemu i wyżywić z coraz mniejszą szkodą dla natury ludzi, których liczba zgodnie z prognozami ONZ może sięgnąć pod koniec XXI w. nawet 10,8 mld.

Autor jest publicystą i wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

Gdy wolnorynkowiec spotyka niedźwiedzia

W małym amerykańskim miasteczku miała powstać **libertariańska utopia**. Ale nikt nie uprzedził o tym mieszkańców okolicznych lasów

Z Matthew Hongoltzem-Hetlingiem rozmawia Jakub Dymek

Czy jeśli niedźwiedź zje libertarianina, to dlatego, że chciała tak niewidzialna ręka wolnego rynku?

Jeśli uważamy, że ona macza swoje palce we wszystkim, to niewykluczone. Ale w czasie,

gdy zajmowałem się libertarianami i niedźwiedziami, na szczęście żadnego z tych pierwszych nie pożarł przedstawiciel tych drugich. Choć, niestety, wskutek wzbudzonej przez wolnorynkowców niedźwiedziej aktywności w Grafton w stanie New Hampshire ucierpieli naj-



Baribale szybko nauczyły się, że przy człowieku znajdują mnóstwo pożywienia

biedniejsi, samotne emerytki oraz przedstawiciele najbardziej narażonych na wykluczenie grup społecznych. Co samo w sobie jest lekcją o tym, że w wolnorynkowej utopii, jaką wymarzyli sobie bohaterowie mojej książki, poradzi sobie tylko sprawny, zdrowy, młody mężczyzna z bronią.

Zacznijmy od początku. Co sprowadziło cię na trop niedźwiedzi i libertarian – zwolenników społeczeństwa nieograniczonego zakazami i nakazami państwa oraz władzy centralnej – gdzieś w gęstym lesie w Nowej Anglii?

W ogóle nie interesowałem się wolnorynkowcami. Jako dziennikarz regionalnej prasy trafiłem do Grafton, by porozmawiać z byłą żołnierką, która pisała skargi do Departamentu ds. Weteranów. Była niepełnosprawna i nie mogła się swobodnie poruszać po domu. Walczyła z biurokracją, domagając się interwencji. Miała też w domu gromadę kotów. I pewnym momencie niezobowiązująco rzuciła uwagę, która natychmiast mnie zainteresowała: „Wiesz, kiedyś wypuszczałam koty na zewnątrz, ale to było, zanim przyszły niedźwiedzie”.

Ciekawe zagajenie rozmowy...

Oczywiście zacząłem ją o to pytać. W okolicy, i zresztą całym New Hampshire, jest rzeczywiście sporo tych zwierząt. Ale interakcje drapieżników z ludźmi, o jakich mi opowiadała, były niezwykłe. Dużo bardziej niecodzienne niż to, czego można się spodziewać w zamieszkałej przez niedźwiedzie okolicy. Po wypytaniu innych ludzi okazało się, że podobnych historii jest sporo. Odpowiedź na pytanie, dlaczego akurat tam, przynosi druga poza niedźwiedziami populacja zamieszkująca Grafton i okolice – kolonia libertarian. I wtedy już wiedziałem, że muszę się tym zająć.

No właśnie, jak jedno łączy się z drugim?

Na początku XXI w. powstało Free Town Project, luźna koalicja radykalnych zwolenników wolnego rynku i libertariańskiej ideologii, komunikujących się głównie na internetowych forach, przed którymi stał bardzo konkretny problem. Nigdy nie udało im się zademonstrować światu, że ich filozofia sprawdza się w praktyce. Słowem: nigdy w historii nie zaistniało libertarianie państwo, miasto, prowincja czy region administracyjny. Pomyśleli więc, że muszą zakasać rękawy i pokazać światu, że wolna od regulacji władzy i podatków utopia naprawdę może się urzeczywistnić. Pomyśl był taki: wszystkich libertarian w kraju poinformować za pomocą internetu, że jest miasteczko Grafton – którego mieszkańcy już bardzo nie lubią płacić podatków – do którego mogą się zjechać i przejąć lokalne struktury władzy.

Demokratyczna rewolucja. Tak! I w 2004 r. zaczęli plan realizować. Cechą, która łączyła nowo przybyłych był fakt, że albo mieli bardzo

dużo gotówki, albo nie mieli jej wcale. Jednych i drugich, bogatych i gołodupców, łączyło zatem to, że nie trzymali ich w innym miejscu praca, rodzina, szkoła czy obowiązki. Najczęściej mówimy o młodych i nieżonatyach mężczyznach. Mogli się spakować i przyjechać do Grafton, o którym z pewnością wcześniej nie słyszeli. Problem w tym, że wielu z nich nie miało pieniędzy, by tu kupić dom czy coś wynająć. Więc postawili na nietradycyjne mieszkalnictwo: zaczęli w okolicznych lasach stawiać namioty, jurty, powstawały koczowiska przyczep kempingowych, stawiali chaty i szopy – jak amerykańscy pionierzy.

Musiało ich łączyć jeszcze jedno: przekonanie, że to naprawdę dobry pomysł. Tak, mówimy o prawdziwych idealistach. Mieli w sobie tyle determinacji, żeby się przeprowadzić, nie tylko szukając dla siebie drugiej szansy, lecz by także zbudować utopijne społeczeństwo od zera.

Zanim zapytam o to, jak na nowych sąsiadów zareagowały niedźwiedzie, chciałbym się dowiedzieć, jak przyjęli ich mieszkańcy Grafton. Spodobała im się propozycja stworzenia libertariańskiego rajku na ziemi?

Ani trochę! (śmiej) Byli wściekli. Tak jest zawsze, gdy nagle pojawia się grupa przyjezdnych, która mówi tutejszym, że zmienia zasady i od teraz wszyscy będą żyć inaczej. Ludzi mieszkających w Grafton nikt nie uprzedził, że ich miasteczko i okolice mają być miejscem realizacji planu Free Town Project. Zwołali więc zebranie, na którym krzyczeli ile sił w płucach, że nie życzą sobie obcych i ich pomysłów. Na to, jak się okazało, libertarianie nie byli przygotowani, bo byli przekonani, że wartość ich ideologii i planu będzie dostatecznym argumentem za tym, by przyjąć ich z otwartymi ramionami. Jak w przypadku kolonizatorów z przeszłości i tym razem okazało się to niewystarczające. Co gorsza, plan libertarian, by obniżyć w mieście podatki i ciąć fundusze dla wszystkich publicznych instytucji – od biblioteki po straż pożarną – był zbyt radykalny jak na i tak niechętnych podatkom i daninom dla Waszyngtonu mieszkańców Grafton.

Jednak pomimo początkowych niepowodzeń libertarianie osiedlają się w okolicy. I co dalej?

W lasach powstają obozowiska, głównie uzbrojonych mężczyzn, którzy żyją na dziko, ciesząc się wolnością. Ale ich obecność zaczyna wpływać na populację niedźwiedzi. Po pierwsze, każdy wyrzucał śmieci wedle uznania. Są w tej sprawie wytyczne stanowe, ale libertarianie nie są zwolennikami odgórnych nakazów i regulacji. Po drugie, oficjalny system reagowania na niepokojące zachowania niedźwiedzi okazał się beznadziejny. Normalnie w New Hampshire odpowiedni urząd wysyła swoich funkcjonariuszy, którzy po każdym zgłoszonym incydencie spisują notatkę i pouczają ludzi, co należy



Dot. Materiały prasowej

MATTHEW HONGOLTZ-HETLING

amerykański dziennikarz specjalizujący się w reportażu i dziennikarstwie śledczym. Za swoje artykuły poświęcone sprawom lokalnym, korupcji i zaniedbaniom urzędniczym w Nowej Anglii nagrodzono go w 2011 r. George Polk Award i nominowano do licznych branżowych wyróżnień, w tym Nagrody Pulitzera

zrobić; np. przypominają, że trzeba odpowiednio zabezpieczyć śmietnik. Ale libertarianie uważają, że podobnych spraw nie powinni rozwiązywać urzędnicy, tylko sami ludzie. Więc incydentów nie zgłaszała. A poza wszystkim – i to trzeci powód – byli jeszcze tacy wśród nich, którzy dokarmiali niedźwiedzie. Dla samej frajdy oglądania dorosłych zwierząt i ich małych. Zachowywali się jak emeryci, którzy w parku rzucają chleb kaczkom oraz gołębiom. To wszystko razem pozwoliło „wychować” populację niedźwiedzi zainteresowaną ludzkimi siedzibami i nauczoną tego, że ludzie dają im pożywienie. Te osobniki nauczyły się też, że sposoby odstraszania ich są zazwyczaj nieskuteczne lub niegroźne. Amatorskie, czasami dziwaczne, metody, w jakie nowi mieszkańcy Grafton próbowali zniechęcić niedźwiedzie do grasowania – w rodzaju rozsypywania gwoździ i pieprzu kajeńskiego – tylko zwiększyły determinację drapieżników.

Co, jak rozumiem, odbiło się na życiu nie tylko zwolenników Free Town Project?

Filozofia wolnorynkowców okazała się wobec niedźwiedzi zawodna. Libertarianie uważają, że grasujący po twojej posesji niedźwiedź jest twoim smartwieniem i ty masz się nim zająć. Więc gdy tylko niedźwiedź przekroczy granicę twojej działki i znajdzie się na ziemi sąsiada, ani to już nie jest twój problem, ani nic ci do tego. I tak to wyglądało w praktyce. Niedźwiedzie tak się spały ludzkim pożywieniem, że niektóre przestały w ogóle zapadać w zimowy sen, zaczęły żyć blisko gospodarstw, rozwalać śmietniki i płoty, straszyć psy i płoszyć zwierzęta domowe. Naprzykrzały się ludziom w najróżniejsze sposoby.

Ale libertarianie – jak już powiedzieliśmy: kreatywni i zdeterminowani faceci – musieli mieć na to jakiś sposób?

Ale jako nieprzejednani indywidualiści zaczęli rozwiązywać niedźwiedzi problem każdy na własną rękę i według własnych pomysłów. Bo rzeczywiście: atak na dom to jeden z tych przypadków, jakie wolnościowa filozofia uwielbia rozstrząsać. Zagrożenie dla człowieka i jego rodziny ze strony potężnego drapieżnika to wręcz podręcznikowe zagadnienie, które ma poka-
zywać przewagę wolnego,

pionierskiego modelu życia i siłę jednostki w starciu z niesprzyjającymi okolicznościami. Przyznaję, że nawet ja – jako facet i ojciec – też łapię się na myśleniu o tym, jak bym bronił własnej rodziny przed takim niebezpieczeństwem. To bardzo męska rzecz. Ale też – spójrzmy prawdzie w oczy – bezsensowna. Żyjemy w XXI w. i zdecydowana większość społeczeństwa nigdy nie będzie musiała mierzyć się z atakującym niedźwiedziem, jak amerykańscy pionierzy i koloniści zasiedlający kontynent kilkadziesiąt lat temu. Libertarianie z Grafton zaczęli w końcu niedźwiedzie zwalczać, przy czym sięgali po różne metody: od zupełnie niewinnych po ostateczne. Bo niektórzy nawet do niedźwiedzi zaczęli strzelać. Najpierw zabili parę niedźwiedzi na swoich działkach, a potem stworzyli bojówkę, która wyruszyła w las eks-terminować większe grupy drapieżników. Podobno jednego dnia zastrzelili trzynaście sztuk.

Trzynaście to bez wątpienia dużo. Ale w lasach stanu New Hampshire mieszkało ich pewnie wiele, wiele więcej?

Trudno oszacować, ile niedźwiedzi żyje w danym miejscu. A oficjalne stanowe rachunki stały się bezużyteczne, bo zwierzęta żyły dzięki ludziom. W każdym razie urzędnicy i badacze stwierdzili, że w okolicy jest dwa razy więcej zwierząt, niż teoretycznie powinny żywić okoliczne lasy. I to pomimo tego, że stan New Hampshire podejmował wysiłki, by ograniczyć ich populację.

No to mamy niezłą mieszkankę: zbyt agresywne albo zbyt ciekawskie ludzi

niedźwiedzie, dzikie osadnictwo, konflikty społeczne, miasteczko z kruszącą infrastrukturą i usługami społecznymi. Czemu nikt – ani stan, ani rząd federalny – nic z tym nie robi?

Po kolejnych cięciach budżetu miasta w pewnym momencie w Grafton nie działało już prawie

nic. Ale w Stanach Zjednoczonych rząd centralny zostawia wiele zadań lokalnej administracji, na poziomie hrabstwa czy miasta. Zwyczajowo więc problemy, jakie stworzyło przybycie nowych mieszkańców do Grafton i ich zwyczaje, też zostałyby przekazane w ręce miejscowych urzędników. Ale w tym przypadku lokalni funkcjonariusze byli już dość bezradni wskutek działań tych samych libertarian, którzy albo głosowali za obniżkami nakładów na usługi, albo sami obejmowali stanowiska w miejscowych instytucjach i prowadzili je w zgodzie z własną filozofią. Zrobiło się kosztownie: doszło do pierwszego od niepamiętnych czasów morderstwa w miasteczku, pojawiły się proble-

my z narkotykami, miała miejsce głośna i agresywna bójka kierowców, a jeden z nich postrzelił drugiego. Do miasteczka sprowadziło się sporo osób, których nazwiska widniały w rejestrze przestępców seksualnych. Doszło też do pierwszego od 150 lat ataku niedźwiedzia na człowieka. A potem kolejnych.

Przez 150 lat niedźwiedź nikogo w okolicy nie zaatakował?

Nie. W 2012 r. doszło do strasznego ataku, w którym starsza kobieta napotkała przed drzwiami własnego domu trzy niedźwiedzie – dwa młode i matkę. Małe uciekły, ale niedźwiedzica rzuciła się na kobietę, poważnie ją raniąc. Ta prawie się wykrwawiła, do dziś ma na ciele blizny po ranach od pazurów. Jej życie uratował pies, który w końcu przegonił drapieżnika. Ten atak można było jeszcze uznać za wyjątek. Ale kilka lat później w nieodległym Groton inną kobietę, poruszającą się na wózku, drapieżnik zaatakował w jej własnej kuchni. Też odniosła obrażenia. W końcu w 2020 r. w miejscowości Canaan dorosły mężczyzna, który rozładowywał półciężarówkę, został zaatakowany od tyłu przez niedźwiedzia. Na szczęście, gdy zaskoczony i ledwie draśnięty odwrócił się z krzykiem, zwierzę też się przstraszyło i uciekło.

Skoro problemy się nawarstwiają, a Free Town Project nie okazał się takim sukcesem, jakiego oczekiwali pomysłodawcy, to czemu po prostu mieszkańcy Grafton nie spakowali walizek i nie wyprowadzili się z miasteczka?

Trudno jest zostawić rodziną okolicę z powodu tego, że wprowadzili się

tam nowi ludzie i robią bałagan. Mówimy o miejscu, w którym część rodzin żyła od pokoleń. Niektórzy postawili więc na strategię oporu: uparcie walczyć z libertarianami na każdym miejscowym zebraniu i każdym głosowaniu oraz przy urnie wyborczej. Liczyli, że w ten sposób „zbiją gorączkę” i sytuacja wróci do normy.

W jakimś sensie to im się udało. W 2016 r. Free Town Project zastąpiono pomysłem Free State Project. Teraz libertarianie z Ameryki mieli zasiedlać i przejmować władzę nie tylko w Grafton, lecz całym stanie New Hampshire. Nie było już powodu, żeby przenosili się do tego jednego miasteczka, skoro mogli gdzie indziej. I miało to więcej sensu – jakoś życia w Grafton po kilkunastu latach od powołania Free Town Project była, jakby to powiedzieć, daleka od imponującej. I grasowały tam niedźwiedzie.

Ale wezmę na chwilę libertarianizm w obronę. To, że ta ideologia okazała się kompletnym niewypałem w jednym miasteczku, nie jest dowodem, że nie podoba

się i nie przekonuje ludzi w innych miejscach? Przecież libertarianscy kandydaci wygrywają w wyborach, trafiają do Izby Reprezentantów i Kongresu, ich pomysłami inspirowane są nierzadko partie republikańskie.

Moja książka nie była w zamysłu napisana jako krytyka doktryny czy filozofii politycznej. Ale choć opisuje przygody najbardziej ekstremalnych z libertarian, nie da się ukryć, że także to, co uchodzi za główny nurt ich myślenia, jest dość radykalne. Gdy faceci w garniturach opowiadają o swoich przemyślanach i z pozoru bardzo logicznych pomysłach, koniec końców okazuje się, że nigdzie nie udało się jeszcze zbudować społeczeństwa czy państwa na podstawie ich recept. I nie spodziewam się, że gdziekolwiek się uda (śmiej). A przynajmniej nie bez wielkiego uszczerbku dla wszystkiego dookoła.

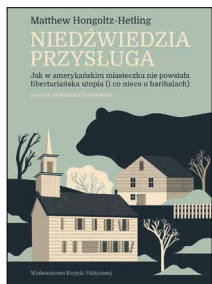
Jak się ta historia kończy? Mieszkańcom Grafton żyje się lepiej po wyprowadzce libertarian?

Niestety, Grafton nie do końca podniosło się jeszcze ze zniszczeń ostatnich lat. Nie jest może coraz gorzej, ale też nie dzieje się lepiej. Być może w innych okolicznościach należałoby powiedzieć: dobra, musimy podnieść podatki, załatać dziury w budżecie i odbudować to, co zostało zaniedbane. Jest jednak pewne „ale”. Jak wspominałem, społeczność Grafton historycznie znana była z tego, że nie przepada za wysokimi daninami.

A jak mają się niedźwiedzie? Dalej obserwujemy w okolicy niezwykle rozzuchwaloną populację tych zwierząt. Ten trzeci atak, o którym mówiłem, miał miejsce już po napisaniu przeze mnie książki, więc problem ewidentnie istnieje.

A czy możesz powiedzieć, że czegoś jednak libertarianie cię nauczyli?

Oczywiście. To ludzie, którzy potrafią przedstawić dobre argumenty na rzecz wolnego rynku – a przynajmniej pewnych aspektów jego działania. A wolny rynek jest cennym narzędziem, jednym z wielu organizujących życie naszego społeczeństwa. W ich świecie to najlepsze narzędzie. Ja dla odmiany najbardziej lubię mojego węża ogrodowego, ale nie upieram się, że przy jego pomocy uda mi się zrobić dosłownie wszystko. Ale poza tym, że jeszcze upłynie z pół wieku, zanim libertarianie nauczą się aplikować swoje recepty bez szkody dla innych i zacząć wierzyć w sensowne kompromisy, to i tak uważam, że warto usłyszeć ich głos w debacie publicznej. Potrzebujemy ludzi, którzy zabijają na alarm, gdy rząd i władza centralna będą próbowały się zamachnąć na podstawowe wolności. Pamiętajmy też, że libertarianie – z czym i ja się zgadzam – byli także wczesnymi zwolennikami np. małżeństw jednopłciowych. Z ich argumentacją czy logiką często jest wszystko jak najbardziej w porządku. Gorzej bywa z praktyką. ©



Matthew Hongoltz-Hetling, „Niedźwiedzia przysługa”, tłum. Aleksandra Paszkowska, Krytyka Polityczna 2022

Paulina Nowosielska, Patrycja Otto

By stwierdzić, jakie konsekwencje dla klasy średniej mają wysoka inflacja, rosnące koszty życia i rat kredytów (a jesteśmy świeżo po dziewiątej podwyżce stóp procentowych), trzeba określić, kto do tej grupy się zalicza. Upraszczając: mamy kryterium dochodowe i zawodowe – i według najroźniejszych opracowań dają one podobne rezultaty: „średniakami” jest nieco ponad połowa Polaków (przy ok. 37 proc. klasy niższej i 12 proc. wyższej). Dla przykładu: badania CBOS mówią, że z klasą średnią utożsamia się aż 77 proc. z nas, choć dzielimy się tu jeszcze na podgrupy: średnią właściwą (46 proc.), niższą (14 proc.) i wyższą (17 proc.). Z kolei eksperci Polskiego Instytutu Ekonomicznego przyjęli, że do klasy średniej zaliczają się gospodarstwa domowe z 1,5 tys. – 4,5 tys. zł dochodu netto do dyspozycji na głowę. Wyróżniają też najbardziej charakterystyczne dla tej warstwy zawody. To m.in. właściciele średnich firm, urzędnicy i menedżerowie średniego szczebla, technicy wyższego szczebla, pracownicy umysłowi, urzędnicy, przedsiębiorcy. I na koniec – wyższym wykształceniem legitymuje się 26 proc. klasy średniej (dla porównania 55 proc. – wyższej i 5 proc. – niższej).

Profesor Gavin Rae, socjolog, kierownik Katedry Nauk Społecznych w Akademii Leona Koźmińskiego, przyznaje, że nie ma jasnej definicji klasy średniej. Różne badania pokazują, że w Polsce to znaczna grupa, zarabiająca powyżej przeciętnych dochodów. Ale nie tylko to ją wyróżnia. Także rodzaj wykonywanej pracy, która jest bardziej kreatywna, samodzielna. To osoby, które dotąd miały kwalifikacje gwarantujące względne bezpieczeństwo i stabilność zatrudnienia. Wyróżniało je także miejsce zamieszkania, bardziej w nowym budownictwie, kamienicy niż wielkiej płycie. Ale jak to teraz osiągnąć, kiedy o kredyt coraz trudniej (znów kłania się środowa decyzja NBP)? Dlatego ten wyznacznik klasy średniej, zdaniem socjologa, upada. I nie tylko on. – Budowała się w Polsce na ideologii indywidualizmu. A przyświecała jej myśl, że damy sobie radę, jeśli dostaniemy swobodę, wolny rynek, a państwo będzie trzymało się od nas jak najdalej. Teraz w kryzysie klasa średnia także oczekuje więcej od państwa, co nie jest spójne z jej pierwotnym wizerunkiem. Ludzi jednak zmusza do tego sytuacja. Rosnące ceny usług prywatnych, opieki medycznej, edukacji, z których dotąd chętnie korzystali – mówi prof. Rae. Przewiduje, że dla tych osób najboleśniejsze okażą się jakiegokolwiek oszczędności w ramach kapitału ludzkiego. Edukacja, dodatkowe lekcje dla dzieci są kluczowe dla osób z aspiracjami. Dla nich wiedza i wykształcenie mają jasne powiązanie z mocniejszą pozycją zawodową.

Stereotypowy obraz wielkomiejskiej klasy, która przy stosunkowo niskim nakładzie pracy zarabia nieźle (zwłaszcza dzięki wykształceniu), nie jest całkiem trafiony. A to oznacza, że i mierzenie się z dzisiejszą drożyzną będzie w tej grupie przybierało różne formy. Ekonomiści są jednak zgodni, że to od jej decyzji będzie zależało, jak uporamy się z kryzysem jako kraj. A nieuchronne wybory, jakie stoją przed klasą średnią, idą znacznie dalej niż rezygnacja z kubka latte.

Ambicje na talerzu

– To nie jest tylko kwestia kawy z popularnej sieciówki (15 zł), ale też wyjścia z dziećmi na lody (gałka ok. 6 zł), kupienia warzyw na obiad (1 kg fasolki szparagowej – ok. 30 zł). Także opłacenia dodatkowych lekcji matematyki (obecnie 110 zł za godzinę zegarową z dojazdem do domu) – wylicza Paula Wawrzyniak, mama dwójki dzieci w wieku szkolnym. Mieszka w Warszawie, pracuje w firmie działającej na rynku deweloperskim. Kilka lat temu wzięła z mężem kredyt w złotych na zakup mieszkania. Rata urosła w ostatnich miesiącach o ok. 300 zł. Do tego koszty leasingu samochodu, którym jeździ jej prowadzący własną działalność mąż – kolejne 300 zł na minusie. Jak sama mówi, zalicza się do klasy średniej. Ciężko pracującej na swoje utrzymanie, co podkreśla kilka razy. – W ostatnim czasie tematem numer jeden naszych małżeńskich dyskusji jest to, z czego w kolejnych tygodniach przyjdzie nam rezygnować. I nie mamy za wielkiego pola manewru – mówi.

Dzieci Pauli chodzą do szkoły publicznej. Dojazdy odpadają, bo spacerem pod bramę

Pożegnanie z lattem

Klasa średnia szykuje się na kryzys. A niektórzy twierdzą, że już go doświadczają

to góra kwadrans. Mąż z samochodu zrezygnować nie może, bo elementem jego pracy są wyjazdy służbowe po kraju.

Paula ma siostrę, której córka od września miała pójść do renomowanej szkoły niepublicznej. Czesne to ok. 2,3 tys. zł. – Ktoś powie, że dużo, ale do niedawna nam się jeszcze kalkulowało, bo w kwotę była wliczona ciekawa oferta nauki języków, basen, posiłki. Myśleliśmy z partnerem, że to najlepsze rozwiązanie, bo sensem naszej pracy jest wykształcenie naszej jedynaczki, a więcej dzieci nie planujemy. Teraz jednak poważnie rozważamy, czy nas na to stać. Dyrekcja szkoły już podniosła czesne o koszty inflacji. To pierwsza podwyżka od pięciu lat, ale usłyszeliśmy, że zapewne nieostatnia. Zastanawiamy się więc, czy jest sens zaczynać szkołę, którą być może po roku trzeba będzie zmieniać. I jak to wtedy zakomunikujemy dziecku? – pyta Beata Wawrzyniak.

– Mam na Ochocie po rodzicach mieszkanie, które wynajmuję. W wyremontowanym bloku z lat 80., 45 mkw. Wystawiam za ok. 3 tys. zł i ogłaszam się w mediach społecznościowych, stąd wiem, że to naprawdę korzystna oferta. Mimo to ostatnio zmienił się profil chętnych. Mieszkanie wynajmują wspólnie trzy młode, dorosłe osoby. Jedną jest z Warszawy, pozostałe przyjechały do stolicy za pracą. Najpierw byłam temu przeciwna, ale dałam się przekonać. Kilka razy rozmawiałam z moimi najemcami. Mówią, że to dziś dla nich jedyna opcja, by się utrzymać w wielkim mieście – opowiada Joanna Raczyńska. Przekonuje, że to rozumie. Jako absolwentka filologii zatrudniona w wydawnictwie sama wdraża swój pakiet oszczędnościowy. – Jestem singielką. Zminimalizowanie kosztów życia zależy więc od moich wyborów. Ubrania, jeśli muszę, kupuję z drugiego obiegu. Na bazarek chodzę popołudniami, kiedy sprzedawcy są bardziej skłonni schodzić z ceny towaru, który następnego dnia może nie prezentować się atrakcyjnie.

Kolejny głos w tej dyskusji: Karolina. Jest pracownikiem naukowym. Zajmuje kierownicze stanowisko w zespole realizującym granty ze środków publicznych. Ma tytuł doktora, jest w trakcie habilitacji. – Moja pensja ze wszystkimi dodatkami to niespełna 4 tys. zł na rękę. I jestem klasycznym przykładem „wewnętrzznego słoika” – ironizuje. Tłumaczy, że raz w tygodniu, po rodzinnym obiedzie, dostaje prowiant w postaci kulek, zup i sałatek. W ten sposób w tygodniu niemal nie wydaje na jedzenie. W jej zespole badawczym tylko ona ma taki komfort. Ostatnio dwie osoby zrezygnowały z kariery naukowej na rzecz pracy typowo komercyjnej, za to lepiej płatnej. – Cóż, ambicji na talerzu nie położysz, rachunku za prąd też nimi nie zapłacisz.

Nasze rozmówczynie stawiają sobie za punkt honoru, że nie naruszają zgromadzonych oszczędności. Te są różne, od 5 tys. do 45 tys. zł. Wszystkie na czarną godzinę, która ich zdaniem jeszcze nie nadeszła. Równocześnie przyznają, że dziś nie są w stanie odkładać drobnych sum, tak jak robiły to rok czy dwa lata temu.

Podwyżki dla zdrowia

Alicja Defratyka, ekonomistka, autorka projektu Ciekaweliczby.pl, mówi, że inflacja dotyka wszystkich demokratycznie. Owszem, osoby biedniejsze najbardziej. Zwłaszcza gdy ich budżet wymusza na nich dokonywanie podstawowych wyborów: wydać pieniądze na leki, jedzenie czy na czynsz? Ale ci, którzy zarabiają powyżej średniej krajowej, też ją odczuwają. Dużym nadużyciem i nietaktem byłoby stwierdzenie, że wystarczy, by zrezygnowali z kilku latte kupowanych w ulubionych kawiarniach.

– Weźmy choćby osoby z dużymi kredytami. Zwłaszcza jeśli brały je przed podwyżkami stóp procentowych. Nie można definiować sytuacji ludzi wyłącznie przez pryzmat ich zarobków, kluczowe są obciążenia. A także sytuacja osobista, w której się znajdują. Ktoś może mieć na utrzymaniu rodziców, osobę niesamodzielną, ponosić duże wydatki na rehabilitację, opiekę – mówi Defratyka.

Dlatego nie zgadza się z opiniami, że osoby bogatsze „nie znają prawdziwego życia”. Każde życie jest prawdziwe. Analityczka zwraca uwagę, że największy problem ze spłatą kredytów mieszkaniowych mogą mieć osoby, które wzięły je w czasie praktycznie zerowych stóp procentowych, czyli od końca maja 2020 r. do początku października 2021 r. Łącznie zaciągnięto wtedy ok. 330 tys. kredytów mieszkaniowych. – W tym przypadku raty urosły w sposób bardzo odczuwalny. A to oznacza modyfikację planów czy rezygnację z nich – mówi.

Przekonuje, że w poprzednich latach wcale nie żyliśmy ponad stan. Jak kogoś było stać na zakup mieszkania, to po prostu to robił. Była też presja na posiadanie własnego lokum, które stało się wyznacznikiem statusu.

– 85 proc. Polaków mieszka dziś w mieszkaniach własnościowych i pod tym względem jesteśmy w czołówce Europy – wylicza. – Nie jest niczym uwłaczającym, że w wieku dwudziestu kilku lat człowiek wynajmuje mieszkanie wspólnie z kilkoma innymi, np. znajomymi ze studiów. Bo nie stać go na samodzielne wynajęcie dwupokojowego lokum, którego cena poszybowała do 3,5 tys. zł i więcej miesięcznie. Zachęcam do zarządzania domowym budżetem i sprawdzenia, na co dokładnie wydajemy pieniądze. Na jedzenie na mieście, kosmetyki, ubrania, płatne subskrypcje, z których dawno już nie korzystamy. Takie podsumowanie, jestem pewna, zadziała na niektórych jak kubeł zimnej wody – mówi.

Największą siłę powinna mieć analiza wydatków na nalogi. – Weźmy papierosy. Założmy, że paczka kosztuje 15 zł. Jeśli ktoś pali jedną dziennie, w skali miesiąca to 450 zł. Tyle, ile opłacenie dodatkowych zajęć dla dziecka lub kwota brakująca do raty kredytu. Papierosy w tym momencie nie są najpilniejszym wydatkiem. Może więc ich cena będzie impulsem, by rzucić palenie. To samo dotyczy alkoholu – mówi Alicja Defratyka.

Hulajnoga, hulaj dusza

O tym, że inflacja, wyższe ceny i stopy procentowe wpływają na zachowania Polaków, mówią też wyniki najnowszego badania ARC Rynek i Opinia. Więcej niż jedna trzecia Polaków przyznaje, że musiała ograniczyć codzienne wydatki, by pieniądze wystarczyło na cały miesiąc. Co czwarty twierdzi, że przez wyższe ceny brakuje mu na rzeczy podstawowe. Dla 38 proc. osób to powód rezygnacji z wyjścia do restauracji, dla 35 proc. jeżdżenia samochodem ze względu na wysokie ceny benzyny, a dla 5 proc. nawet jego sprzedaży.

– Przed pandemią 57 proc. Polaków uważało auto za wyznacznik statusu. Na koniec 2021 r. było to 50 proc. – mówi Adam Jędrzejewski, prezes i założyciel Stowarzyszenia Mobilne Miasto. Ocenia, że aspekt ekologiczności ma znaczenie, ale nie on powoduje zmianę nawyków. Decyduje o tym przede wszystkim

cena i wygoda. – Z naszych analiz wynika też, że już jedna czwarta konsumentów, którzy wydają ponad 300 zł miesięcznie na samochód, chciałoby te wydatki ograniczyć – dodaje. Drogie paliwa, jak mówi, mają znaczenie w nasilaniu się trendu, zgodnie z którym nie chcemy posiadać, lecz używać i współdzielić. Stąd rosnąca popularność samochodów na wynajem krótkotermini-

nowy, hulajnóg i rowerów oferowanych na minuty.

O popycie na te usługi świadczy ich rozwój. Jak wynika z danych Mobilnego Miasta za I kw. tego roku, hulajnogi są dostępne w 89 miastach, a łączna flota liczy niemal 45 tys. sztuk. To prawie trzy razy więcej niż w analogicznym okresie 2021 r. Rowerów w ulicznych wypożyczalniach jest blisko 15,5 tys. (rok temu – ok. 13,5 tys.).

Doktor Adam Czarnecki z firmy badawczej ARC Rynek i Opinia obserwuje, że klasę średnią zdominowały obecnie dwie skrajne postawy. Pierwsza, dominująca, to ograniczanie konsumpcji. Przede wszystkim tych usług i dóbr, które mogą zakwalifikować jako luksusowe, czyli niekonieczne do życia. Druga wychodzi ze skrajnie innego założenia: lepiej jest pieniądze wydać teraz niż czekać, aż jeszcze stracą na wartości.

Jest trzecia droga – rzeczy z drugiego obiegu. Karierę robią nie tylko second handy, lecz także sklepy charytatywne, gdzie towar dostarczają klienci, a pieniądze z jego sprzedaży trafiają do organizacji pozarządowych. Zaczęło się od ubrań. Dziś w ofercie są też np. meble.

– Wystartowaliśmy w 2020 r., w pandemii. Wtedy zainteresowanie było małe. Rok temu klientów przybyło, ale mieliśmy wrażenie, że pojawiają się głównie z powodów ekologicznych. Dziś ekologia została wyraź-

nie wsparta przez ekonomię. Ludzie przychodzą, bo szukają rzeczy w okazyjnych cenach

– mówi Maciej Kosiorek, menedżer ReStore. Dodaje, że sklep ma teraz kilkadziesiąt transakcji dziennie. O połowę więcej niż przed rokiem. Dorobił się też grona stałych klientów.

To jest lifestyle

Profesor Rae zwraca uwagę, że obecny kryzys ma dla klasy średniej wymiar egzystencjalny, gdyż uderza w podwaliny tego, na czym się dotąd opierała. A w każdym razie w to, na podstawie czego się identyfikowała. – Dziś ci ludzie muszą pracować szczególnie wytrwale, by utrzymać dotychczasowy komfort życia. Dla nich decyzje o rezygnacji z wyjazdu, zakupów czy jedzenia w restauracji są o tyle trudne, że najmocniej tęskni się za tym, co utracone, a jeszcze niedawno stanowiło element życia. Innymi słowy za tym, w czym się już zasmakowało – mówi prof. Rae. – W picu kawy w kawiarni nie chodziło o ten kubek, tylko o spędzenie czasu wśród ludzi, z którymi czujemy się dobrze. To element lifestyle'u. Dlatego nie można go rozumieć jedynie wąsko jako luksusu, z którego stosunkowo prosto zrezygnować.

Zdaniem socjologa to, na ile trwale zmienimy swoje nawyki w poszukiwaniu oszczędności, zależy dziś od czasu trwania kryzysu. – Jesteśmy w stanie przekonać samych siebie i bezszkodowo przeprowadzić krótkotrwałe działania. Zwłaszcza że jesień i zima dopiero przed nami, a wraz z nimi pojawią zwiększone o koszty ogrzewania rachunki. Potrzebujemy jednak jasnej perspektywy, która ugruntuje naszą motywację. I właśnie z nią jest problem – ucina.

Doktor Małgorzata Starczewska-Krzysztosek, ekonomistka, wykładowczyni na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, ocenia, że w przeciwieństwie do osób z najniższymi dochodami klasa średnia ma jakieś oszczędności. Pytanie na dziś i jutro brzmi więc, czy uruchomi te rezerwy, by utrzymać dotychczasowy poziom życia. – Decyzja będzie zależała od indywidualnej oceny sytuacji makroekonomicznej i tego, jak ona się przekłada na gospodarstwo domowe – mówi ekspertka. Dodaje, że istnieją powody do obaw. Choćby o zatrudnienie. – Nie mamy pewności, czy obecny, niski poziom bezrobocia się utrzyma. Na portalach oferujących pracę ogłoszenia są, ale z każdym miesiącem ich ubywa.

Ekonomistka zwraca uwagę, że im większa liczba dzieci w rodzinie, tym trudniejsze decyzje do podjęcia. – Należy się spodziewać, że w niepewnej sytuacji dominować będzie tendencja do nieruszania oszczędności, co rodzi konieczność rezygnacji. Z czego? Z perspektywy osób posiadających kredyty pomocne w kreśleniu dalszych scenariuszy będzie poznanie ostatecznego kształtu wakacji kredytowych – mówi.

Zakłada, że każdy przyjęty kierunek musi być przemyślany, bo kryzys, szacuje, potrwa dwa, trzy lata. – Ludzie będą rezygnować z drobnych przyjemności jak wyjście do kina, restauracji. Ale też z inwestycji w edukację dzieci. Nadchodzące wakacje będą z pewnością czasem poważnych przemyśleń, a ich rezultaty poznamy we wrześniu.

©P



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Prezydent Miasta Mysłowice
ogłasza ustny przetarg nieograniczony

na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej, stanowiącej własność Gminy Mysłowice, położonej w Mysłowicach – Wesołej u zbiegu ulic: **Harcerzy Śląskich i Kryształowej**, obejmującej działkę nr **3227/102** o pow. **21596 m²** na arkuszu mapy 3, obręb 0010 Wesoła, zapisaną w księdze wieczystej nr KA1L/00022964/8 Sądu Rejonowego w Mysłowicach, z przeznaczeniem pod zabudowę mieszkaniową. Nieruchomość nie posiada opracowanego miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, a w obowiązującym Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta Mysłowice, uchwalonym przez Radę Miasta Mysłowice, uchwałą Nr L/761/21 z dnia 21 grudnia 2021 r., położona jest w strefie ozn. symbolem: **MWN – obszary zabudowy mieszanego wielorodzinnego i jednorodzinne**. Nin. działka może być wykorzystana pod budownictwo mieszkaniowe zgodnie z zapisami obowiązującego studium. Zagospodarowanie nin. nieruchomości nastąpi na podstawie szczegółowych warunków, które zostaną określone w decyzji o warunkach zabudowy, wydanej na wniosek nabywcy.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi 3.600.000,- zł
(słownie: trzy miliony sześćset tysięcy złotych)

Sprzedaż nin. działki na dzień ogłaszania przetargu zwolniona jest z podatku VAT.

Przetarg odbędzie się w dniu 20 września 2022 r. o godz. 10.00 w sali nr 204 Urzędu Miasta w Mysłowicach przy ul. Powstańców 1.

Przed przystąpieniem do przetargu należy **najpóźniej** do dnia **14 września 2022 r.** wnieść **wadium** w pieniądzu w wysokości **720.000,- zł** (słownie: siedemset dwadzieścia tysięcy złotych) z podaniem ww. numeru działki. Pełna treść ogłoszenia o przetargu, zawierająca szczegółowe warunki przetargu dostępna jest na stronie internetowej w Biuletynie Informacji Publicznej www.bip.myslowice.pl/nieruchomosci/ ogłoszenia o przetargach na sprzedaż lub dzierżawę nieruchomości lub www.bip.myslowice.pl/przetargi na nieruchomości oraz www.myslowice.pl/nieruchomosci na sprzedaż/ogłoszenia o przetargach na sprzedaż lub dzierżawę nieruchomości, a także na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Mysłowice przy ul. Powstańców 1 (na II piętrze) obok pok. 302. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Wydziale Geodezji i Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta w Mysłowicach przy ul. Powstańców 1, w pok. 311 tel. 32 31 71 236 (w godz. pracy urzędu).

FELIETONY

I lepiej niech siedzą cicho

Ministrowie transportu czy spraw wewnętrznych rzadko bywają źródłem moralnej refleksji. Ministrowie edukacji, a i owszem, chętnie, przy czym ten obecny stoi na straży (polskich) granic moralnych wręcz z entuzjazmem. Nowe przedmioty? Tak, byle repolonizujące szkołę. Nowe podręczniki? A jakże, byle pisane alfabetem narodowego Morse'a. Ostatnio nawet toaleta w publicznym warszawskim liceum stała się obiektem gniewnych filipik prof. Czarnka, bo głęboko niesłusznie szkoła sama lepiej wiedziała, czy potrzebna jest specjalna toaleta dla nastolatków tzw. niebinarnych. Przed wojną sanacyjny premier wsławił się propagowaniem wiejskich wychodków, powszechnie zwanych od tego czasu „sławojkami”; dziś znalazł godnego następcę w tematyce, wydawałoby się, zapomnianej. To się nazywa promocja przedmiotu „Historia i teraźniejszość”!

Można by pomyśleć, że szefostwo MEiN wybierane jest według innego klucza niż pozostałych resortów. W tych pozostałych, wiadomo, zwycięskie partie obdzielają stanowiska według partyjnych i koteryjnych zasad. W edukacji – o nie, tam jest inaczej... Aby zostać ministrem, trzeba przejść po wielu szczeblach drabiny moralnej. U samego dołu – nauczyciele; moralni tak sobie, w każdym razie różnie. Najbardziej szlachetni z nich zostają po latach ciężkiej pracy wywyższani do roli przewodników moralnych – zostają wizytatorami. Z tych tworzymy arcysszczebel drabiny

– kuratorów, no, nie, muszę jednak napisać Kuratorów, jakby rycerzy Jedi. I wreszcie pojawia się On(a), zwierzchnik, papież oświaty, guru idealistów. Ale, ale... to wszystko nieprawda. Ministrowie oświaty i wychowania są politykami i zazwyczaj

mają cechy polityków – a jeśli idą diamentową drogą Dalajlamy, to raczej przez przypadek. Słyszał ktoś, aby niekwestionowany autorytet i przewodnik sumień został ministrem? Zresztą, może dobrze, że jakoś to się nie przyjęło, bo rząd złożony z samych autorytetów niechybnie doprowadziłby do wojny domowej.

Od ministra każdego polskiego resortu można wymagać organizacyjnej zaradności, pomysłu na wkład jego resortu w podnoszenie jakości życia obywateli RP, politycznej skuteczności. I żeby nie tracił żadnej okazji, by siedzieć cicho.

GRAPE.
Tłoczone z danychZostać
w Rosji
czy ją
opuścić

Od rozpoczęcia inwazji Rosji na Ukrainę zagraniczne przedsiębiorstwa w Rosji stoją przed wyborem: zostać czy opuścić ten kraj? Grupa ekspertów z Kijowskiej Szkoły Ekonomicznej opracowała listę firm działających w Federacji – i uaktualnia ją przez cały czas, dodając informacje o tym, czy zwinęły lub ograniczyły one swoją działalność, czy też funkcjonują jak dawniej. 2 czerwca w zestawieniu tym znajdowało 2048 firm, które sklasyfikowano na podstawie aktualnego statusu działalności: od „pozostały” (żadnych zmian) przez „grają na czas” aż po „odeszły” (wycofanie się lub chociaż zmniejszenia skali działalności).

Większość zachodnich firm wycofała się z Rosji (prawie 54 proc.), ok. 25 proc. pozostało, a reszta zwleka z decyzją. Z kolei mniej niż 27 proc. przedsiębiorstw azjatyckich i z Bliskiego Wschodu zdecydowało się na opuszczenie Federacji, a 58 proc. pozostało. Schemat ten wydaje się spójny z sytuacją geopolityczną – Rosję

Prezydent Miasta Chorzów
ogłasza

II przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości, położonej w Chorzowie przy ulicy Kresowej – ulicy Torowej – ulicy Rębaczy. Zbycie przedmiotowej nieruchomości nastąpi poprzez:

1. Sprzedaż prawa własności nieruchomości stanowiącej własność Miasta Chorzów, obejmującej działki oznaczone numerami geodezyjnymi: 448/28 o powierzchni 1.056 m² (N), KA1C/00008218/1, 454/32 o powierzchni 547 m² (N), KA1C/00008224/6, 390/32 o powierzchni 58 m² (N), KA1C/00008224/6, 451/30 o powierzchni 1.174 m² (N), KA1C/00010321/3, 388/30 o powierzchni 131 m² (N), KA1C/00010321/3 (łącznie powierzchnia 2.966 m²).
2. Sprzedaż prawa własności nieruchomości stanowiącej własność Skarbu Państwa, obejmującej działkę oznaczoną numerem geodezyjnym: 457/34 o powierzchni 612 m² (Ba), KA1C/00024755/5.

Łączna powierzchnia nieruchomości, bliżej opisanych w pkt 1 i pkt 2 wynosi 3.578 m².

Działy III i IV nie zawierają wpisów.

Nieruchomość znajduje się północno – zachodniej części miasta Chorzów w otoczeniu niezabudowanych terenów przeznaczonych pod zabudowę usługową. Nieruchomość gruntowa, niezabudowana, porośnięta dziko rosnącą roślinnością. Teren działek nieogrodzony, posiada kształt nieregularny zbliżony do wydłużonego prostokąta. Teren lekko pofalowany. Przez teren przebiega sieć gazowa, energetyczna i wodociągowa i kanalizacyjna. Nieruchomość posiada bezpośredni dostęp do drogi publicznej.

Przeznaczenie ww. nieruchomości: tereny zabudowy usługowej, tereny kolejowe.

Łączna cena wywoławcza nieruchomości, bliżej opisanych w pkt 1 i pkt 2 została ustalona na kwotę 730.000,00 zł, w tym:

- cena wywoławcza nieruchomości, bliżej opisanych w pkt 1 – 605.000,00 zł
- cena wywoławcza nieruchomości, bliżej opisanych w pkt 2 – 125.000,00 zł

Cena sprzedaży prawa własności nieruchomości osiągnięta w przetargu, powiększona zostanie o należny podatek VAT na podstawie ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2022 r. poz. 931 ze zm.).

Cena sprzedaży prawa własności nieruchomości uzyskana w przetargu, winna być wpłacona w całości przed zawarciem umowy notarialnej.

Wadium w wysokości 73.000,00 zł uczestnicy przetargu winni wpłacić przelewem na konto: Urząd Miasta Chorzów Miasto na prawach powiatu, ul. Rynek 1, 41 – 500 Chorzów, ING Bank Śląski S.A. Nr 75 1050 1214 1000 0010 0000 3671 w terminie najpóźniej do dnia **04.08.2022 r.** Nie dopuszcza się wpłaty wadium w formie gotówkowej w kasie Urzędu Miasta Chorzów. Datą dokonania wpłaty wadium jest data uznania rachunku bankowego Miasta. Wadium wpłacone przez oferenta, który przetarg wygrał zostanie zaliczone na poczet ceny nabycia. Osobom, które przetargu nie wygrały wadium zostanie zwrócone nie później niż przed upływem trzech dni od dnia zamknięcia przetargu. Wadium ulega przepadkowi w razie uchylenia się uczestnika, który przetarg wygrał, od zawarcia umowy.

Oświadczenie, że oferent zapoznał się z warunkami przetargu i przyjmuje te warunki bez zastrzeżeń, uczestnicy przetargu winni złożyć najpóźniej do dnia 04.08.2022 r. do godziny 15:00, w siedzibie Urzędu Miasta Chorzów, ul. Rynek 1, IV piętro, pokój 425.

Przetarg odbędzie się w siedzibie Urzędu Miasta Chorzów, ul. Rynek 1, II piętro, sala 236, dnia 9 sierpnia 2022 r. o godz. 10:00

Nabywca akceptuje, że Miasto Chorzów oraz Skarb Państwa nie będą ponosili odpowiedzialności za ewentualne szkody spowodowane koniecznością poniesienia ewentualnych kosztów obowiązkowego usunięcia zanieczyszczeń lub skażeń, które występują lub mogą wystąpić po podpisaniu umowy sprzedaży nieruchomości lub rekultywacji terenu, dokonanej na mocy decyzji albo rozstrzygnięć sądowych wydanych po podpisaniu umowy sprzedaży. Ponadto Miasto Chorzów oraz Skarb Państwa nie będą odpowiadać za konieczność poniesienia ewentualnych dodatkowych kosztów, związanych z zabezpieczeniem terenu, a wynikających z faktu usytuowania przedmiotowej nieruchomości na terenach objętych ograniczeniami zabudowy kubaturowej, z uwagi na występujące pustki po starej, płytkiej eksploatacji węgla kamiennego. W umowie sprzedaży nabywca zrzeknie się dochodzenia w przyszłości wszelkich roszczeń z tego tytułu.

W dniu 09.02.2022 r. bezskutecznie upłynął termin do złożenia wniosku przez osoby, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości, bliżej opisanej w pkt 1 na podstawie art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy o gospodarce nieruchomościami.

Ogłoszenie niniejszego przetargu następuje z uwagi na fakt, iż ogłoszony I przetarg w dniu 17.05.2022 r., zakończył się wynikiem negatywnym.

Ogłoszenia o przetargach dostępne są również na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Chorzów, ul. Rynek 1, stronie internetowej miasta www.chorzow.eu oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.

Dodatkowe warunki przetargu można uzyskać codziennie w dniach pracy Urzędu Miasta Chorzów, ul. Rynek 1 w pokoju 429, tj. od poniedziałku do środy od godz. 7:30 – 15:00, w czwartki od godz. 7:00 – 17:00 oraz w piątki od godz. 7:00 -13:00, tel. 32 416 50 00 wew. 386, e-mail: szczygiel_m@chorzow.eu.

Prezydent Miasta Chorzowa ma prawo odwołania przetargu z ważnych powodów.

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 28 ust. 4 ustawy z dnia 16 kwietnia 2004 r. o ochronie przyrody (tj. Dz.U. 2022 r., poz. 916) oraz art. 39 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnieniu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (tj. Dz. U. 2022 r. poz. 1029)

Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Kielcach
w porozumieniu z Regionalnym Dyrektorem
Ochrony Środowiska w Łodzi
oraz Regionalnym Dyrektorem Ochrony Środowiska
w Warszawie

zawiadamia o przystąpieniu do sporządzania projektu zmiany Zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Kielcach, Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Łodzi, Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Warszawie z dnia 29 kwietnia 2014 r. w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Dolina Czarnej PLH260015 (Dz. Urz. Woj. Święt., poz. 1561, z późn. zm.) oraz o możliwości zapoznania się z gotowym dokumentem.

Projekt zmiany zarządzenia wraz z uzasadnieniem dostępny będzie w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Kielcach, ul. Karola Szymanowskiego 6, 25-361 Kielce.

Ponadto będzie zamieszczony w serwisie internetowym RDOŚ w Kielcach: <https://www.gov.pl/web/rdos-kielce/ustanowione-plany-zadan-ochronnych>.

Jednocześnie informuję o możliwości składania uwag i wniosków do projektu zmiany zarządzenia w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla w/w obszaru Natura 2000 w ramach 21 dniowej procedury udziału społeczeństwa w dniach **od 09.06.2022 r. do 30.06.2022 r.**

Składanie uwag i wniosków możliwe będzie zarówno w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Kielcach, ul. Karola Szymanowskiego 6, 25-361 Kielce, w godzinach 7.30-15.30 (na piśmie lub ustnie do protokołu), a także w formie elektronicznej na adres sekretariat.kielce@rdos.gov.pl.

W myśl art. 41 ustawy o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko, uwagi lub wnioski złożone po dniu 30.06.2022 r. nie będą rozpatrywane.

Organem właściwym do rozpatrywania uwag i wniosków jest Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Kielcach.

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 28 ust. 4 ustawy z dnia 16 kwietnia 2004 r. o ochronie przyrody (tj. Dz.U. 2022 r., poz. 916) oraz art. 39 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnieniu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (tj. Dz. U. 2022 r. poz. 1029)

Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Kielcach
w porozumieniu z Regionalnym Dyrektorem
Ochrony Środowiska w Łodzi

zawiadamia o przystąpieniu do sporządzenia projektu zmiany Zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Kielcach i Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Łodzi z dnia 29 kwietnia 2014 r. w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Ostoja Przedborska PLH260004 (Dz. Urz. Woj. Święt., poz. 1457, z późn. zm.) oraz o możliwości zapoznania się z gotowym dokumentem.

Projekt zmiany zarządzenia wraz z uzasadnieniem dostępny będzie w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Kielcach, ul. Karola Szymanowskiego 6, 25-361 Kielce.

Ponadto będzie zamieszczony w serwisie internetowym RDOŚ w Kielcach: <https://www.gov.pl/web/rdos-kielce/ustanowione-plany-zadan-ochronnych>

Jednocześnie informuję o możliwości składania uwag i wniosków do projektu zmiany zarządzenia w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla w/w obszaru Natura 2000 w ramach 21 dniowej procedury udziału społeczeństwa w dniach **od 09.06.2022 r. do 30.06.2022 r.**

Składanie uwag i wniosków możliwe będzie zarówno w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Kielcach, ul. Karola Szymanowskiego 6, 25-361 Kielce, w godzinach 7.30-15.30 (na piśmie lub ustnie do protokołu), a także w formie elektronicznej na adres sekretariat.kielce@rdos.gov.pl.

W myśl art. 41 ustawy o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko, uwagi lub wnioski złożone po dniu 30.06.2022 r. nie będą rozpatrywane.

Organem właściwym do rozpatrywania uwag i wniosków jest Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Kielcach.

opuszczają firmy z tych państw, które potępiły agresję na Ukrainę. Czy ten schemat odzwierciedla po prostu interes (geo)polityczny i ekonomiczny, czy też wpływa z wartości kulturowych i moralności? Pozostanie lub odejście – wybór ma dla firm konsekwencje, które z etycznego punktu widzenia są trudne do porównania. Ten pierwszy oznacza, że nałożone na Kreml sankcje nie będą tak skuteczne; drugi – że znacząco obniżą się zyski biznesu. Wybór w tej sytuacji jest analogiczny do tego, który rozpatruje się, wykorzystując dylemat wagonika. To eksperyment myślowy: pędzą-



zabije pięć osób stojących na torze. Można tego uniknąć, ale trzeba poświęcić życie jednego człowieka. Tyle że poświęcenie poświęceniu nierówne: można to zrobić albo poprzez przedstawienie zwrotnicy (wtedy wagonik zabije jedną osobę na innym torze), albo poprzez zepchnięcie człowieka na tory (wówczas wagonik wyhamuje, nim zabije te pięć osób). Postawieni przed tym dylematem etycznym ludzie w większości przypadków są skłonni poświęcić jedno życie, by uratować pięć. Tyle że ten odsetek jest wyższy, jeśli skonfrontujemy ich z przedstawieniem zwrotnicy, niż gdy musieliby zepchnąć kogoś na tory. Ta pierwsza opcja jest dla nich bardziej moralnie akceptowalna, choć w obu przypadkach ginie człowiek.

Problem wagonika jest analogiczny w wielu aspektach do decyzji firm. Popieranie sankcji jest odpowiednikiem przedstawiania zwrotnicy, a opuszczenie Rosji to zepchnięcie kogoś na tory. Dlaczego? O ile ogólnie za celowe uważamy pewne poświęcenie Rosjan dla powstrzymania wojny w Ukrainie, to podejmowanie działań przeciwko konkretnym Rosjanom, pracownikom, dostawcom i klientom naszej firmy postrzegamy jako mniej akceptowalne od strony moralnej. To zjawisko

nauka określa pojęciem mobilności relacyjnej. Na długo przed agresją Rosji na Ukrainę Edmond Awad (University of Exeter) i współpracownicy badali właśnie rolę mobilności relacyjnej w dylemacie wagonika. Sprawdzali, czy preferencje pomiędzy przedstawieniem zwrotnicy a zepchnięciem kogoś z kładki są podobne w różnych krajach. Mobilność relacyjna określa łatwość, z jaką ludzie mogą spotkać osoby o podobnych poglądach w nieznanym sobie grupie. Różne społeczeństwa cechuje różny poziom mobilności relacyjnej, zatomizowane Stany Zjednoczone mają ją niższą niż niektóre społeczeństwa Azji. Badania potwierdziły intuicję: uczestnicy badania z USA częściej wybierali uratowanie pięciu osób niż osoby z Chin czy Japonii; nawet jeśli wymagało to zepchnięcia kogoś z kładki, to Amerykanie częściej niż Chińczycy czy Japończycy zdecydowali się na takie działanie. Być może firmy ze Wschodu rzadziej niż zachodnie opuszczają Rosję, bo przy tej samej ocenie moralnej są mniej skłonne poświęcić Rosjan, by uratować Ukraińców.

Skąd ta różnica? Bence Bago (Institute of Advanced Studies w Tuluzie) we współpracy z ponad setką badaczy, w tym ze mną, kontynuuje badania nad dylematem wagonika w 45 krajach ze wszystkich kontynentów. Naszym celem było zbadanie nie tyle częstości poszczególnych wyborów, ile motywacji uczestników. We wszystkich krajach świata większość badanych chce uratować piątkę nieszczęśników za cenę jednej ofiary, ale motywacje się różnią. Ludzie Zachodu uważają ofiarę przedstawienia zwrotnicy za efekt uboczny uratowania pozostałych, a zepchnięcie na tory postrzegają jako mniej moralnie dopuszczalne, bo to celowe skazanie kogoś na śmierć. To rozróżnienie nie pojawia się w uzasadnieniach przedstawianych przez mieszkańców państw ze Wschodu czy globalnego Południa. Różne decyzje firm Zachodu i Wschodu nie muszą oznaczać różnej moralność, lecz jedynie odmienne motywacje.

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłasza konkursy dla kandydatów na stanowiska dyrektorów szkół artystycznych

L.p.	Nazwa szkoły	Adres Szkoły
1.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Władysława Hasiora w Koszalinie	ul. Raclawicka 9, 75-620 Koszalin
2.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Magdaleny Abakanowicz w Gdyni	ul. Orłowska 39, 81-522 Gdynia
3.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy	ul. Konarskiego 2, 85-066 Bydgoszcz
4.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Gorzowie Wielkopolskim	ul. Warszawska 18, 66-400 Gorzów Wielkopolski
5.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze	ul. Stefana Batorego 70A, 65-735 Zielona Góra
6.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Pankiewicza w Katowicach	ul. Ułańska 7A, 40-887 Katowice
7.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie	ul. gen. Kazimierza Pułaskiego 15, 42-200 Częstochowa
8.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Juliana Fałata w Bielsku-Białej	ul. gen. Sikorskiego 8, 43-300 Bielsko-Biała
9.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Kluzy w Krakowie	ul. Młaskotów 6, 30-117 Kraków
10.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Szermentowskiego w Kielcach	ul. Radiowa 3, 25-317 Kielce
11.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Antoniego Kenara w Zakopanem	ul. Kościeliska 35, 34-500 Zakopane
12.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Tadeusza Brzozowskiego w Krośnie	ul. Augusta Lewakowskiego 47, 38-400 Krosno
13.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Chełmońskiego w Nałęczowie	ul. Lipowa 30, 24-140 Nałęczów
14.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Cypriana Kamila Norwida w Lublinie	ul. Muzyczna 10A, 20-612 Lublin
15.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi	ul. ul. Mahatmy Gandhiego 14, 91-012 Łódź
16.	Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Stanisława Wyspiańskiego w Jarosławiu	ul. Jezuicka 1, 37-500 Jarosław
17.	Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia im. Karola Kurpińskiego we Wschowie	ul. Głogowska 11, 67-400 Wschowa
18.	Zespół Szkół Muzycznych w Siedlcach	ul. Podlaska 14, 08-101 Siedlce
19.	Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna I i II stopnia im. Karola Lipińskiego w Lublinie	ul. Muzyczna 10, 20-620 Lublin

Do konkursu może przystąpić osoba, która spełnia wymagania rozporządzenia Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z dnia 4 grudnia 2019 r. *w sprawie wymagań, jakim powinna odpowiadać osoba zajmująca stanowisko dyrektora oraz inne stanowisko kierownicze w publicznej szkole artystycznej oraz publicznej placówce artystycznej* (tj. Dz. U. z 2019 r. poz. 2470), a w przypadku ubiegania się o stanowisko dyrektora publicznej placówki zapewniającej opiekę i wychowanie uczniom w okresie pobierania nauki poza miejscem stałego zamieszkania - wymagania określone w rozporządzeniu Ministra Edukacji Narodowej z dnia 11 sierpnia 2017 r. *w sprawie wymagań, jakim powinna odpowiadać osoba zajmująca stanowisko dyrektora oraz inne stanowisko kierownicze w publicznym przedszkolu, publicznej szkole podstawowej, publicznej szkole ponadpodstawowej oraz publicznej placówce* (tj. Dz. U. z 2021 r. poz. 1449).

- Oferty osób przystępujących do konkursu powinny zawierać:
- uzasadnienie przystąpienia do konkursu oraz koncepcję funkcjonowania i rozwoju szkoły lub placówki,
 - życiorys z opisem przebiegu pracy zawodowej, zawierający w szczególności informację o:
 - stażu pracy pedagogicznej – w przypadku nauczyciela albo
 - stażu pracy dydaktycznej – w przypadku nauczyciela akademickiego, albo
 - stażu pracy, w tym stażu pracy na stanowisku kierowniczym – w przypadku osoby niebędącej nauczycielem,
 - oświadczenie zawierające następujące dane osobowe kandydata:
 - imię (imiona) i nazwisko,
 - datę i miejsce urodzenia,
 - obywatelstwo,
 - miejsce zamieszkania (adres do korespondencji),
 - poświadczone przez kandydata za zgodność z oryginałem kopie dokumentów potwierdzających posiadanie wymaganego stażu pracy, o którym mowa w lit. b: świadectw pracy, zaświadczeń o zatrudnieniu lub innych dokumentów potwierdzających okres zatrudnienia,
 - poświadczone przez kandydata za zgodność z oryginałem kopie dokumentów potwierdzających posiadanie wymaganego wykształcenia, w tym dyplomu ukończenia studiów wyższych lub świadectwa ukończenia studiów podyplomowych z zakresu zarządzania albo świadectwa ukończenia kursu kwalifikacyjnego z zakresu zarządzania oświatą,
 - poświadczoną przez kandydata za zgodność z oryginałem kopię dokumentu potwierdzającego znajomość języka polskiego, o którym mowa w art. 11a ust. 1 ustawy z dnia 7 października 1999 r. o języku polskim (tj. Dz. U. z 2021 r. poz. 672), lub kopii świadectwa, o którym mowa w art. 211 ust. 3 pkt 2 lub 3 ustawy z dnia 12 grudnia 2013 r. o cudzoziemcach (tj. Dz. U. z 2021 r. poz. 2354 z późn. zm.) – w przypadku cudzoziemca,
 - poświadczoną przez kandydata za zgodność z oryginałem kopię zaświadczenia lekarskiego o braku przeciwwskazań zdrowotnych do wykonywania pracy na stanowisku kierowniczym,
 - oświadczenie, że przeciwko kandydatowi nie toczy się postępowanie o przestępstwo ścigane z oskarżenia pu-

- blicznego lub postępowanie dyscyplinarne,
- oświadczenie, że kandydat nie był skazany prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo lub umyślne przestępstwo skarbowe,
- oświadczenie, że kandydat nie był karany zakazem pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi, o którym mowa w art. 31 ust. 1 pkt 4 ustawy z dnia 17 grudnia 2004 r. o odpowiedzialności za naruszenie dyscypliny finansów publicznych (tj. Dz. U. z 2021 r. poz. 289),
- oświadczenie o dopełnieniu obowiązku, o którym mowa w art. 7 ust. 1 i 3a ustawy z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów (tj. Dz. U. z 2021 r. poz. 1633) – w przypadku kandydata na dyrektora publicznej szkoły urodzonego przed dniem 1 sierpnia 1972 r.,
- poświadczoną przez kandydata za zgodność z oryginałem kopię aktu nadania stopnia nauczyciela mianowanego lub dyplomowanego – w przypadku nauczyciela,
- poświadczoną przez kandydata za zgodność z oryginałem kopię karty oceny pracy lub oceny dorobku zawodowego – w przypadku nauczyciela i nauczyciela akademickiego,
- oświadczenie, że kandydat nie był prawomocnie ukarany karą dyscyplinarną, o której mowa w art. 76 ust. 1 ustawy z dnia 26 stycznia 1982 r. – Karta Nauczyciela (tj. Dz. U. z 2021 r. poz. 1762 z późn. zm.) lub w art. 276 ust. 1 ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (tj. Dz. U. z 2022 r. poz. 574) - w przypadku nauczyciela i nauczyciela akademickiego,
- oświadczenie, że kandydat ma pełną zdolność do czynności prawnych i korzysta z pełni praw publicznych,
- oświadczenie, że kandydat wyraża zgodę na przetwarzanie danych osobowych zgodnie z rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. *w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/We*.

Oferty należy składać w zamkniętych kopertach z podanym imieniem, nazwiskiem i adresem zwrotnym kandydata oraz z dopiskiem:

KONKURS NA STANOWISKO DYREKTORA

.....

.....

(nazwa szkoły lub placówki)

W
(miejscowość)''

w terminie do dnia **04.07.2022 roku** na adres biura wizytatora Centrum Edukacji Artystycznej (CEA), właściwego dla siedziby szkoły, w której ogłaszany jest konkurs.

Blizszych informacji udzielają dyrektorzy szkół, w których przeprowadzone zostaną konkursy, wizytatorzy regionalni Centrum Edukacji Artystycznej oraz CEA w Warszawie.

O terminie i miejscu przeprowadzenia postępowania konkursowego kandydaci zostaną powiadomieni pisemnie.

Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku

wydzierżawi przestrzeń użytkową przy ul. Chlebnickiej 13/16

o pow. 836,2 m²

tj. Dom Studenta oraz Pokoje Gościnne ASP

Szczegóły:

www.asp.gda.pl → dzierżawa powierzchni, tel. kontaktowy: 794-000-532



AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W GDAŃSKU

Zakład Gospodarowania Nieruchomościami w Dzielnicy Wawer

działając na podstawie art. 35 ust. 1 oraz § 4 ust. 5 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami informuje, że zostały podane do publicznej wiadomości na okres 21 dni wykazy nieruchomości położonych na terenie dzielnicy Wawer, przeznaczonych do wydzierżawienia: wykaz nr 6/D/2022, wykaz nr 7/D/2022, wykaz nr 8/D/2022, wykaz nr 9/D/2022.

AUTOPROMOCJA

OGŁOSZENIA
GAZETA | INTERNET
www.ikomunikaty.pl

Ewa Gromek-Tyburska
ewa.gromek@infor.pl
tel. +48 22 530 41 78
tel. kom. + 48 510 024 764
Sylvia Nowakowska
sylvia.nowakowska@infor.pl
tel. +48 22 530 42 07
tel. kom. 510 024 732



Znak: UD-XIV-WAB.6740.21.2022.BGR

OBWIESZCZENIE

Zawiadamiam, że w dniu 30 maja 2022 r. wydaliśmy decyzję nr 50/2022 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, obejmującej budowę drogi publicznej: **ulicy Dworkowej** wraz z budową odwodnienia i przebudową oświetlenia drogi na działkach ewidencyjnych:

nr **239, 232, 247, 179/2** (po podziale działki nr ew. 179), **286, 181/3** (po podziale działki nr ew. 181/2) w obrębie **8-07-11,**

nr **295, 84, 117, 109/8** (po podziale działki nr ew. 109) w obrębie **8-07-12,** położonych w dzielnicy Wesoła miasta stołecznego Warszawy.

Pouczenie

Strony postępowania mogą zapoznać się z treścią decyzji, w siedzibie Urzędu Dzielnicy Wesoła m.st. Warszawy w Wydziale Architektury i Budownictwa, 05-075 Warszawa, ul. 1 Praskiego Pułku 33, w godzinach 8⁰⁰ - 15³⁰, w dni robocze, w terminie 14 dni od daty publicznego ogłoszenia.

Podstawa prawna

- art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (tj. Dz. U. z 2022 r. poz. 176),
- art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2021 r. poz. 735 z późn. zm.)



OBSERWUJE I PREZENTUJE
Rafał Woś

Jak Europa walczy z drożyzną

Wschód mocno. Zachód niekoniecznie. Nowe porównawcze zestawienie przygotowane przez Komisję Europejską pokazuje, jak kraje Unii osłaniają swoich obywateli przed rosnącymi cenami energii. Uderzają one w najbardziej rozwinięte gospodarstwa, bo popyt na energię elektryczną czy na ogrzewanie jest dość sztywny. I nawet jak człowiek zacznie w świadomy sposób oszczędzać prąd albo przykręcać kaloryfer, to i tak koniec końców jego wydatki zależą od dostawcy energii i stosowanych przez nich taryf. Komisja Europejska szacuje więc, że w roku 2020 dolna połówka dochodowa mieszkańców Unii płaciła za energię (na użytek domowy) ok. 4,75 proc. swojego dochodu. Dziś koszt ten sięga już 6,5 proc.



Unia Europejska jak dotąd w antyinflacyjną politykę cen energii krajów członkowskich stara się raczej nie mieszać, pozostawiając im niespodziewanie dużą dowolność

Wiedzą o tym oczywiście demokratyczne rządy i słusznie próbują ten wzrost kosztów jakoś zmniejszyć albo zrekompensować. Co do zasady wyróżnić można trzy podstawowe mechanizmy. Pierwszy to polityka cenowa, czyli bezpośrednie i pośrednie wpływanie przez państwo na to, ile gospodarstwa domowe i firmy płacą za prąd czy ogrzewanie pośrednikom. Przykładem może być obniżenie podatków, którymi obłożona jest energia. Może to być także bezpośrednia interwencja wyznaczająca górną cenę. Drugi model: polityka dochodowa. Tu rząd nie tyle patrzy na rosnące ceny, ile dba o to, by gospodarstwa domowe dostały odpowiednią dla ich potrzeb

rekompensatę. Najczęściej w formie dodatkowych pieniędzy (w gotówce albo w formie voucherów) na pokrycie różnicy w cenie przed i po podwyżce. Wyróżnia się jeszcze trzeci model, uzupełniający – przewidziany głównie dla firm, a polegający zwykle na zwolnieniu ich z innych danin oraz podatków, by im ulżyć w trudnym czasie. Każdy z tych mechanizmów ma oczywiście swoje efekty uboczne. Polityka sztucznego obniżania cen może zakłócać funkcję sygnalizacyjną kosztu energii. Drogi prąd zachęca bowiem do bardziej efektywnego i oszczędnego jego używania, co ma przecież niebagatelne znaczenie z punktu widzenia kosztów ekologicznych funkcjonowania naszej cywilizacji. Z kolei narzędzia polityki dochodowej niosą z sobą klasyczne ryzyko związane z funkcjonowaniem państwa dobrobytu – tzn. albo będą powszechne i bardzo kosztowne, albo skierujemy je do najbardziej potrzebujących gospodarstw, ale wtedy ryzykujemy, że pieniądze nie zawsze dotrą tam, gdzie trzeba i z pomocy zostanie wykluczonych wielu obywateli. A to nieuchronnie przełoży się na przekonanie, że „rząd nic nie robi”. W krajach Europy Wschodniej rządy zdają się robić więcej, by chronić swych obywateli przed rosnącymi cenami energii. Na Litwie czy Węgrzech idzie na ten cel już ok. 1,2 proc. PKB. Polska – ze wsparciem na poziomie 1 proc. – jest tuż za nimi. Zaraz za nami są Bułgaria i Łotwa. Z grona krajów starej UE na szczycie listy znajdziemy tylko Grecję oraz Maltę. Wyjątek zaś stanowią Czechy i Słowacja, gdzie rządy wydają się jak dotąd zupełnie nie poczuwać do odpowiedzialności i na antyinflacyjną pomoc energetyczną nie wydają prawie nic. A Zachód? Dania, Finlandia, Austria, Szwecja czy Irlandia to wydatki poniżej 0,4 proc. PKB. Włosi przeznaczają na to 0,6 proc., a Niemcy 0,7 proc. PKB. Inna sprawa to modele, po które sięgają konkretne kraje. Na Węgrzech, w Bułgarii czy we Francji dominuje zdecydowanie polityka cenowa. Na Litwie, Łotwie czy w Grecji narzędzia polityki dochodowej. Polska zaś stosuje model mieszany z przewagą polityki cenowej. Sama Unia – jak dotąd – w antyinflacyjną politykę krajów członkowskich stara się raczej nie mieszać, pozostawiając im niespodziewanie dużą dowolność.



Bez przemocy nie ma władzy

Rosyjska agresja na Ukrainę wielu zaskoczyła. Jak to możliwe, pytali, by wojna mogła wybuchnąć w środku Europy w XXI w.? To było nie tylko możliwe, lecz także nieuchronne – odpowiada Jörg Baberowski – bo choć tęsknota za usunięciem przemocy z życia ludzkiego jest zrozumiała, to jednak takie marzenie się nie spełni. Niemiecki historyk napisał „Przestrzenie przemocy” w 2015 r. (teraz książka ukazuje się u nas) – była to kontynuacja jego wieloletnich badań nad terrorem w Związku Radzieckim. W książkach „Czerwony terror” i „Stalin. Terror absolutny” (obie wyszły u nas kilka lat temu) Niemiec rozwinął koncepcję przemocy w państwach totalitarnych XX w. Jego zdaniem nie była ona wynikiem sytuacji ekstremalnej, nie wynikała także z bezduszności biurokratycznych procedur. Przemoc – powiada Baberowski – zawsze jest sposobem sprawowania władzy. Bez przemocy nie ma bowiem żadnej władzy.

Ta konkluzja wprowadziła Baberowskiego na kurs prowadzący do zderzenia z dominującym w socjologii i politologii drugiej połowy XX w. dążeniem do rozwiązywania na zawsze problemu gwałtu. I uczyńnięcia z ponowoczesności bezprzemocowego raju. Właśnie w książce „Przestrzenie przemocy” wyłożył Baberowski swoje najważniejsze argumenty za tym, dlaczego eliminacja przemocy z naszego życia nie jest możliwa. A głoszący „kres opresji” myśliciele, jak Johan Galtung, Zygmunt Bauman albo Steven Pinker, po prostu się mylą. To wadzenie się Niemca z głównym nurtem zachodniej filozofii politycznej uczyniło z niego głos tyleż ciekawy, co narażony na przeróżne próby gumkowania. Zwłaszcza w rodzinnych Niemczech.

Dla czytelnika nieświadomego tych kontekstów „Przestrzenie przemocy” bronią się przede wszystkim jako źródło wielu interesujących rozważań. Zwłaszcza że Baberowski (jak na porządnego niemieckiego historyka przystało) obficie przywołuje prace innych – niekoniecznie u nas znanych – autorów. Wspomina np. prace zmarłego w 2002 r. niemieckiego socjologa Heinricha Popitza – jednego z klasyków rozważań na temat „pochodzenia władzy”. Popitz pisał: wyobraźmy sobie statek wycieczkowy, a na jego pokładzie leżaki. Dopóki sprztów jest więcej niż pasażerów, dopóty nie ma problemu władzy. Ale potem dosiadają się nowi uczestnicy wycieczki, którzy także chcą poleżakować. Więc starzy wycieczkowicze zaczynają zajmować sprzęty, zostawiając na nich ręczniki. Gdy jakiś śmiałek próbuje mimo to zająć leżak, doświadcza słownych połajanek ze strony... samozwańczego właściciela, który uzurpuje sobie prawo do władzy nad kawałkiem płótna. Bardzo prawdopodobne, że w jego ślad pójdą kolejni „starzy” pasażerowie. Obrona przywileju jest większą motywacją niż podjęcie wysiłku w celu jego zdobycia. Popitz ciągnie te rozważania dalej, pokazując na tym przykładzie, jak rodzi się władza i jak łatwo zaczyna być wymuszana.

W kontekście trwającej wojny w Ukrainie „Przestrzenie przemocy” nie dają optymistycznych perspektyw na jej pokojowe zakończenie. Zresztą sam Baberowski – jako publicysta komentujący tematy wschodnie w niemieckich mediach – każe nam się naśmiewać na długi i brutalny konflikt. Również z powodu spirali przemocy, w którą uwikłało się rosyjskie przywództwo. Putin nie bardzo może „odpuścić” – znajduje się bowiem w środku działań, które z jego perspektywy mogą zakończyć się albo zwycięstwem, albo totalną porażką. Bo stawką jest władza.



Jörg Baberowski,
„Przestrzenie przemocy”, tłum.
Kamil Markiewicz,
Instytut Pileckiego,
Warszawa 2022



DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

Redakcja:
ul. Okopowa 58/72
01-042 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl
Redaktor naczelny: Krzysztof Jedlak
Zastępcy redaktora naczelnego:
Barbara Kasprzycka, Dominika Sikora,
Marek Tejchman

Sekretarze:
Dariusz Koźlenko, Wojciech Tysek,
Urszula Wróblewska,
Marta Sobolewska
Kierownik działów Kraj, Świat i Gospodarka:
Anita Sobczak
Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PIK)
Firma i Prawo oraz Prawnik:
Ewa Szadkowska, Joanna Pięńczykowska (tygodnik FIP)
Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Szczepańska, Bożena Ławnicka (tygodnik SiA),
Karolina Topolska (tygodnik KIP)
Opinie: Michał Potocki
Dział Dodatków Poradniczych:
Marta Gądomska-Byrska

Magazyn: Anna Masłoń, Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej Weryński
GazetaPrawna.pl: Lidia Raś
Forsal.pl: Aleksandra Dzierżek
Dziennik.pl: Przemysław Średziński
Szef działu foto: Krzysztof Cieśliewicz
Szef studia DTP: Jacek Obrusiewicz
Główny grafik: Cezary Cichocki
Centrum Reklamy
(tel. 22 530 44 44,
faks 22 530 41 10)
e-mail: reklama@infor.pl
Dyrektor ds. Sprzedaży: Michał Krukowski
Dyrektor Centrum Marketingu i Sprzedaży:
Aneta Kowalska, tel. 22 530 43 00

Rzecznik prasowy, PR:
Mirosława Piotrowska,
tel. 22 530 40 56
Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Okopowa 58/72
01-042 Warszawa
tel. 22 761 31 27
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl
Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki,
tel. 22 530 42 06
Produkcja: Maciej Kownacki,
tel. 22 530 42 24
Druk: Agora SA (Warszawa)


Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL SA
01-042 Warszawa, ul. Okopowa 58/72
tel. 22 530 40 40
Grupa INFOR PL
Właściciel: Ryszard Pierikowski
Prezes zarządu: Ewa Świątuniuk
Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.


Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
RUICH SA,
Kolporter SA,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe
Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 31 27,
gazetaprawna.pl/prenumerata